Nr. 35 (1235). Warszawa, 14 (27) Sierpnia 1904 r. **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Prawa wojny.

Tocząca się wojna poruszyła wiele zagadnień w obrębie t. zw. prawa międzynarodowego, „tak zwanego" mówimy, boć przecież nie podobna nazywać prawem tego zbioru dorywczych, rozpierzchłych przepisów, które przeważnie uświęciły tylko zwyczaje dawne w interesie rządów, rzadziej już zostających pod nimi narodów, a w bardzo skromnym tylko stosunku — w interesie ludzkości. Przy szczupłości samej materyi prawnej, niedoskonałość formy, brak sankcyi prawodawczej i ramienia wykonawczego czyni z tego, co pospolicie w żargonie uniwersyteckim za prawo międzynarodowe uchodzi— raczej zbiór przepisów przyzwoitości w stosunkach, niż wcielenie pojęć prawa i prawności. Przepisy nieznacznie tylko ograniczają siłę, głównie zaś sile służą, prawowitość jej uznają i zabezpieczają, przyczyniając się zwolna zarówno do uprawnienia wojny jako konieczności jak i do wykształtowania indywidualności mocarstw, nad którémi konieczność ta się pastwi. Najżywotniejsze dla dzisiejszego człowieka zagadnienia: stanu wojennego, neutralności, terytoryum, kontrabandy i rewizyi okrętów neutralnych w obecnym uraganie wschodnim występują wybitnie w całym szeregu faktów, które dzień jutrzejszy powinien od dzisiejszego wziąć pod rozwagę i choćby tylko dla owej przyzwoitości zużytkować.

Sam wybuch wojny obecnej nastręcza wątpliwość, co do swej międzynarodowej prawności. Minęły już wprawdzie czasy ceremonii odbywanych ongi przez fecyałów, minęły już za istnienia samego Rzymu; niepodobna jednak nie dostrzedz, że proste zerwanie stosunków dyplomatycznych nie powinno być w interesie ogólnym uważane za równoważnik formalnego wypowiedzenia wojny. Tak też bywało zawsze w ogromnej większości wypadków, tak powinno było być i w obecnym, a nie było: Japonia, dnia 6 lutego odwoławszy posła, już d. 8 t. m. rozpoczęła kroki wojenne, niewypowiedziawszy wojny. Stwierdzenie zasady powszechnej bądź co bądź opóźniającej, a nawet powstrzymującej wojnę, leży w interesie wszystkich. Według zwyczaju obie strony w początkach wojny ogłosiły publicznie, co uważają za kontrabandę wojenną; przyczem poraz pierwszy może żywność, nie dowożona wprost dla wojska, artykuł którego przeznaczenie wojenne, jak np. przy ryżu, będącym narodową strawą Japończyków, trudno jest udowodnić, ale niezmiernie łatwo podejrzewać — dostał się na wykaz przedmiotów zabronionych. Gdyby istniała umowa między państwami, zakres pojęcia kontrabandy nie mógłby przekroczyć granic ani koniecznej potrzeby, ani też koniecznego poszanowania prawa do życia, w niewalczących, którego żadna wojna gwałcić nie powinna.

Sprawa neutralności terytoryum pod względem prawnym odrazu już rozstrzygnięta była w Mandżuryi przez siłę, siłą też do niej Japończycy weszli. Zastrzeżenie Haya zmierzało tylko do ocalenia reszty Chin od najazdu wojennego. Neutralność portów dająca prawo, ale i wkładająca przytem obowiązki, dotychczas już w kilku wybitnych wypadkach wychyliła zrozpaczone swe oblicze. W Czemulpo dołączyła się jeszcze kwestya postawy, jaką zachować powinny okręty neutralne. Czy Czemulpo było portem neutralnym? — tej wątpliwości niepowinni Japończycy nawet poruszać. Sprawa koniecznego wyjścia z portu musiała ich żywo zajmować dla praktycznego, na razie, rozwiązania; ale o wiele żywsze zajęcie wzbudzić powinna w tych przyjaciołach ludzkości, którzy dążą wywodami i prawidłami swymi do przejęcia duchem rzeczywistego prawa twardego głazu stosunków i umów międzypaństwowych. Żadna dotychczas ugoda, obowiązująca powszechnie, nie określiła czasu pozostawania statku wojennego w porcie neutralnym (Anglia przyznaje 24 god.), ani też prawnych do tego tytułów; również nigdzie nie powiedziano, w co zaopatrzyć się, jakich napraw dokonać w porcie neutralnym może okręt strony wojującej; wreszcie powstaje wątpliwość: czy wrazie bezprawności przebywania, pozbawiającej i sam port charakteru neutralnego, druga strona może na terytoryum niejako już wojenne, samowolnie wtargnąć?

Prawo przytrzymywania statków neutralnych i zabierania kontrabandy i samych nawet statków — było zawsze i wszędzie wykonywane, z zastrzeżeniem wszakże sądownictwa morskiego, niemieckich „Prisengerichte." Obecna wojna przyniosła fakta wykonywania tego prawa nie przez statki wojenne; przyniosła też wypadki niszczenia statków podejrzanych o kontrabandę. Naokoło niej krąży żywy interes polityczny; w sprawie Cieśnin tureckich i floty m. Czarnego wcielony, a samo ciążenie tego interesu powinno dać rozpęd do ustalenia zasad, zapewniających oparcie jednym, wytykających granice innym. I w samym sposobie prowadzenia wojny potrzeba, nawiązując na konferencyę brukselską petersburską, roztrząsnąć sprawę min na lądzie po za obrębami fortec, a nie mniej i min na morzu, na wodach własnych, o ile odrywanie się ich

grozi żegludze na morzu pełnem, zastawionem już dla wszystkich. Oto są główniejsze wątpliwości poruszone przez obecną wojnę. Wszystkie prawie znaleźć można w § 763, 775, 776, 786, 794, 802, 805, 810, 813, kodyfikacyi Bluntschliego. Słusznie mówi *Nowoje Wremia*, że teraz nie czas na narady, ale czas na wpatrzenie się w ich potrzebę, w ich konieczność.' W interesie własnym wszystkich tkwi porozumienie się wszystkich. Potrzeba jest tak jasną i naglącą, że jeśli państwa nie zdołają nawet zebrać się na naradę, garstka ludzi pracujących nad prawem międzynarodowem, Institut du droit international, nie zaniedba rozpalić idealnego światła w ciemności.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawozdanie kontr-admirała Rajcensztajna o bitwie eskadry Portu Artura d. 10 b. m. przekonywa, że celem wycieczki, powstrzymanej przez Japończyków, było przedostanie się do Władywostoku. Flota admirała Withefta składała się z 9 wielkich okrętów i małego, ale szybkolotnego „Nowika." Tej eskadrze towarzyszyły dwa oddziały torpedowców i kanonierki. Togo szybko dostrzegł ruch na pełne morze i w 13 wielkich okrętów, z 44 torpedowcami zaczął otaczać eskadrę rosyjską. Ryknęły działa; „Askold" doznał poważnych uszkodzeń. Ruchy okrętów zastosowane do celu, jaki każda ze stron walczących osiągnąć pragnęła, przeciągnęły się po za południe; ogień je tylko osłaniał, zabezpieczał i wspomagał. Około godz. 6 kontr admirał Withe[f]t na „Cesarzewiczu" poległ; kontr-admirał Uchtomskij go zastąpił. Eskadra już się wtedy cofała. Nowy dowódca rzucił się znowu naprzód, aby pierścień z okrętów japońskich rozerwać. Cztery okręty ruszyły na wschód. Siedm okrętów japońskich zasypało je pociskami. „Askold" celnym ogniem opędził się Japończykom tak, że wraz z „Nowikiem" przedarł się przez obręcz i oba uszły pogoni; dwa drugie, „Palladę" i „Dianę," stracili walczący z oczu. Oddzieleni też byli i od innych okrętów. Nastał zmierzch. „Askold" był ciężko porażony, brakło mu węgli: kontr-admirał Rajcensztajn po dwudniowem błąkaniu się zawinął dopiero d. 13 b. m. do Szangaju.

Przy półwyspie szantuńskim kontr-admirał, według wyrażenia raportu, pozwolił „Nowikowi" działać samodzielnie; zawijał więc do Szang-haju tylko z „Askoldem" i kanonierką „Grozowoj." Straty poniósł ciężkie. Na samym tylko „Askoldzie" ranionych jest 3 oficerów, zabity 1; żołnierzy 44 (29 lżej) i 10. Straty pozostałych okrętów wskutek rozproszenia nie mogły być wiadome dowódcy „Askolda": „Retwizan" i „Pobieda," równie jak „Cesarzewicz" uszkodzone. Adm. Uchtomskij zawiadamia o liczbie ranionych d. 10 b. m.: 280 żołnierzy i 50 oficerów — wszyscy lekko. Dotychczas niema wiadomości urzędowej o „Palladzie." „Nowik" zapuścił się ku Władywostokowi, ale stwierdziwszy tam obecność Japończyków, oddalił się szybko na północ ku Sachalinowi. Inne okręty schroniły się do Tsintau (Kiao-czau), kilka powróciło do Portu Artura. „Diana" nie oparła się aż w Saigonie i czeka na wynik rokowań z Francyą.

Zaciętszą od tej rozprawy była rzeczywista już bitwa na północo-wschód, na wysokości korejskiego Urusanu, na północo-zachód od Tsu szymy, d. 14 b. m. Donosi o niej sam już admirał Aleksiejew. Stoczyły ją trzy okręty władywostockie: „Rosya," „Ruryk" i „Gromoboj," z 5 krążownikami pancernymi pod Kamimurą. W samym prawie początku walki „Ruryk" utracił zdolność sterowania. Działa japońskie na niego się też głównie skierowały. Dowódca, myśląc tylko o ocaleniu dwu pozostałych okrętów, po 5-godzinnej, „okrutnej" walce uwolnił się od nieprzyjaciela, ale oba jego okręty były poprzebijane pociskami: na „Rosyi" pod wodą i na wodzie 11 otworów, na „Gromoboju" 6; przeszło połowa oficerów i czwarta część żołnierzy ubyła z szeregów (zabitych 185, ranionych 307). Pozostawiony o 30 mil na południe „Ruryk" poszedł na dno; 600 załogi (177 ranionych) wyratowali Japończycy; z 23 oficerów, wziętych do niewoli, jeden zmarł zaraz z ran. „Ruryk" był wielkim krążownikiem o 11,000 ton.

Pod Portem Artura coraz goręcej i ciaśniej Japończycy zdobyli Taku-szan na wschodzie, Laoteszan na południo-zachodzie, usiłowali zapanować ogniem nad Złotą Górą, od zachodu zaś wdarli się do zatoki Luizy i na południe od niej do Gołębiej; tutaj jednakże po chwilowem powodzeniu powstrzymały ich bateryе rosyjskie. Od d. 14 b. m., z przerwą tylko w d. 17, codziennie atakowali rozciągłą linię rosyjską, wyrzucając pociski, a w d. 18, 19 i 21 b. m. przypuszczając szturm; d. 22 ponowili bombardowanie. Mogli się tu i owdzie naprzód posunąć, celu jednak nie osiągnęli. Straty ich muszą być wielkie, dotychczasowe ofiary w ludziach ogromne; ważność jednak stanowiska, które chcą zdobyć, pobudza ich do ustawicznego zapełniania wyłomów w szeregach. Pobliskość Dalnego i samej Japonii każe przypuszczać wylądowywanie posiłków z kraju; podanie o 13 pułkach jakoby oderwanych Kurokiemu i Nodzu z północy — brzmi jak bajka. Bez wielkiego błędu oznaczyć można stałą liczebność wojsk oblegających pod wodzą Nogu a zwierzchnictwem Ojamy na 60—70 tysięcy z 250 działami.

Bombardowanie t. zw. posterunku Korsakowskiego na Sachalinie przez Japończyków (zdaje się, że d. 21 b. m.) zostaje w związku z owem rzuceniem się „Nowika" na północ; prawdopodobnie go zaskoczono.

Sprawa torpedowca „Reszetelnyj" nie jest jeszcze według urzędowych wiadomości załatwioną; również i sprawa „Askolda" i „Grozowoja" w Szang-haju. Rozstrzygnięcie w Tsin-tau jest już stanowczem: okręty pozostaną tam aż do skończenia się wojny.

Na lądzie deszcze i w cichości obmyśliwany skok strategiczny. Gen. Kuropatkinowi przybywa codziennie sił, wzmaga się też prawdopodobieństwo przewinięcia frontu ku północy ze środkiem pomiędzy Liao-jangiem a Mukdenem, z ramionami, opasującemi od zachodu i wschodu. Opuszczenie Anszanczanu jest faktem dokonanym; zajął go znaczną siłą Kuroki, który również objawia dążność ku północy od górnej Tai-tsi. Ściągnięcie sił od Nodzu tłomaczy się tym zamysłem obejścia około Mukdenu.

Politykę związaną z wojną wzbogacił Balfour oświadczeniem na piśmie, że ma pewność, iż statki floty ochotniczej nie będą wypływały z m. Czarnego i że zatapianie statków neutralnych już się więcej nie powtórzy. Rewidowanie wszakże nie ustaje. Na Atlantyku „Ural," kupiony od Niemców, zatrzymał „Scotian'a," na m. Czerwonem „Petersburg" zrewidował „Bengalię," a „Smoleńsk" — „Comediana." Ukazanie się okrętów rosyjskich na oceanie Indyjskim przeraziło handel; na Spokojnym

Henryk Seton Merriman.

*

SIOSTRA.

Mniejsza o to, gdzie się rzecz działa. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek z tych, co nas wówczas otaczali, domyślił się, o kim mowa. Ona prawdopodobnie kartek tych czytać nie będzie, a nie wiem, czy zna moje nazwisko. Zresztą może się wydarzyć, że ktoś zwróci na nie jej uwagę i ona sobie przypomni, że je widziała podpisanem razem ze swojem na jednym papierze — świadectwie śmierci, które dziś zapomniane wraz z innemi leży pewnie gdzieś, w jakimś kącie w ministeryum wojny.

Pragnąłbym jednak, żeby to pisanie nie dostało się w jej ręce, bo uważałaby je może za naruszenie przyzwoitości zawodowej, a ja przywiązuję wielką wagę do sądu tej kobiety, którą widziałem raz tylko w mojem życiu. Tembardziej, że w owej chwili znajdowała się ona w stosunku zależności do mnie — mniej więcej w położeniu służącej.

Dość powiedzieć, że było to w czasie wojny, w czasie wielkiego ruchu w naszym zawodzie, jak mówi się w kupiectwie. A o wojnie tej lepiej wiedzą młodzi, niż starzy, gdyż w gruncie rzeczy niedawne to jeszcze dzieje. Starzy ludzie pamiętają przedewszystkiem stare boje, te, które toczyli, kiedy krew płynęła w nich młoda i żyły nie były jeszcze zapchane.

Była też to, nawiasem mówiąc, pierwsza moja wyprawa, lecz treść jej — krew bynajmniej nie nowością, ja bowiem nie żołnierz jestem, lecz doktór. Moim mundurem, strojem galowym — krzyż czerwony na granatowym rękawie wełnianej kurtki, bardzo nieraz zaplamionej ciemnemi piętnami, których lepiej nie rozpatrywać.

Ktokolwiek brał udział w wojnie — zarówno niszczący, jak naprawiający — wie dobrze, że pod świstem kul inaczej się czyni, niż zdala od nich. Korespondenci rozpisują się chętnie o wspaniałem zachowaniu się ludzi, niby na paradzie, uniesieni własną fantazyą, niemożliwą do zastosowania w rzeczywistości. Paradę bowiem mieć można podczas wymarszu z miejsca wylądowania, ale nie tam, gdzie się zaczyna prawdziwa robota — *nasza* robota.

Zaopatrują nas w całe stosy papierów urzędowych, z których my nigdy nic robimy użytku, gdyż w danej chwili życie ludzkie staje się dla nas rzeczą ważniejszą. Znacznej większości naszych zasobów chirurgicznych nie możemy właściwie zużytkować, gdyż zazwyczaj najważniejsze z nich zostają się w głównej kwaterze lub w składzie portowym. I najczęściej robimy to, czegośmy nie powinni, a zaniedbujemy tego, do czegośmy (urzędownie przynajmniej) powołani.

Bóg wie, z jakiej racyi — prawdopodobnie dla braku lepszych ludzi — wysłano mnie do przednich oddziałów w trzy dni zaledwie po przybyciu. Szpital nasz nad rzeką nie był jeszcze zapełniony, gdy otrzymałem rozkaz towarzyszenia oddziałom jazdy z dwoma pomocnikami i całym taborem szpitala polowego.

Z tego maleńkiego jądra powstał w następstwie największy przytułek dla ranionych i chorych. Znajdowaliśmy się w niedalekiej odległości od kwatery naczelnej, a swobodę działania miałem najzupełniejszą. Nasz zakład przeto z każdym dniem nabierał znaczenia i prześcignął wkrótce szpital główny.

Były to dla nas bardzo gorące czasy, gdyż pierwsza kolumna zetknęła się już z przeciwnikiem; znajdował się on w odległości jakichś czterdziestu mil *) od naszego ambulansu.

Z biegiem czasu, kiedy nasi naczelnicy nauczyli się nie lekceważyć wroga—skłonność właściwa angielskim, wyższym władzom wojskowym — uznano za konieczne wzmocnić nasz zastęp i w dodatku do dwóch pomocników przysądzono mi dwie pielęgniarki. Niebardzo mię ta wiadomość uradowała. Nie pochwalam wprowadzania kobiet tam, gdzie się biją. Starsze nie ma-

*) angielskich.

kapitanowie marynarki handlowej nie wystawiają już *connossement*'ów.

Pochwalili się już Prusacy rozbiciem Hererów, a tu okazuje się, że ledwo opędzić się im zdołali; utracili 8 oficerów i 80 żołnierzy zabitych i ranionych, i nieprzyjaciela szukać nie myśleli. Gen. Trotha zrobił wprawdzie wielki plan w małej wojnie, ale go wykonać nie umiał.

Dnia 20 b. m. p. Delcasse podpisał z posłem Leon y Castillo układ o budowę trzech kolei przez Pireneje w ciągu lat 10. O Marokku jeszcze cicho.

W Stanach Zjednoczonych na południu, w Statesborough, bójki Białych z Czarnymi. Wielka rzeczpospolita zadarła z Turcyą. O co Amerykanom chodziło, dobrze niewiadomo; ale zagrozili tak, jak gdyby mieli wielki jaki interes. Są tam sprawy o szkoły i misye w Armenii, o skrzywdzonych Amerykanów, o wynagrodzenie, ale jest i dopominanie się dla posła stanowiska ambassadora: coraz większy imperyalizm. Teraz podobno już zgoda bliska.

W Clermont-Ferrand d. 17 b. m. zamykanie klasztorów ściągnęło dwutysięczny tłum, z którego padały na żandarmów kamienie.

W Opawie d. 18 b. m. Wszechniemcy wiecowali bez innych stronnictw niemieckich. Zażądali odwołania klas równoległych, z czarną chorągwią krzyknęli Thunowi „Abzug," pod pomnikiem Franciszka Józefa zaśpiewali „Deutschland, Deutschland über Alles," zagłuszyli muzykę wojskową, wrzeszczeli i waryowali. Trochę ich przetrzepano przed namiestnictwem; kilku ranionych, wielu uwięzionych. W Tryeście znowu bomby.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

XVI. Kilka kartek z dziennika

Za drugiem [illegible] Niag-dam stał piękny słup drogowy (10 „i"), w kształcie człowieka, z wyszczerzonymi zębami, w szlacheckim kołpaku (tan-gôn) na głowie. Obok leżała podłużna kupa kamieni, nakryta słomianą matą w rodzaju strzechy. Być może, że są to gruzy kapliczki przydrożnej. Ton-sa kręci głową z tajemniczą miną, on nie mówi mi „złych rzeczy, aby uchronić mię od nieszczęścia." Dalej na pochyłości, po drugiej stronie drogi widnieje rząd płaskich, prostopadłych kamieni, jakie stawiają w Japonii zamiast nagrobków. Ton-sa dowodzi, że są to pamiątkowe kamienie „cnotliwych wójtów!"

Przed nami wązka, doskonale uprawna dolina. Zrasza ją rzeczka, którą nazwano mi „Cchoran." Na drodze dużo ludzi z noszami i szeregi jucznych koni. Wśród pól małe gaiki drzew. Nie dalej, jak o 6 „i" od Niag-dam widać wioskę pod skałą. Przy drodze dwa wielkie kopce mogilne. O dwa „i" dalej znowu wioska otoczona polami tytoniu i sałaty. Od zebranego tytoniu sterczą tylko badyle, ale sałata jeszcze się trzymą, przymrozki niewiele jej zaszkodziły. Oczy z przyjemnością wypoczywają krócióchną chwilkę na jej żywej zieleni, poczem prześlizgują się po brunatnym krajobrazie jesiennym i wznoszą ku jaśniejącemu złotym błękitem niebu. Mijamy ogromny, ciężki wóz korejski, naładowany chróstem. Całe góry tego chróstu ciemnieją w wiosce, do której się zbliżamy. Wita nas u wjazdu znak „dziesięciu i" wesoło uśmiechnięty i w kapeluszu „kat", cokolwiek zsuniętym na bakier. Dolina zwęża się do 200 sążni. Spotykamy cały orszak białych Korejczyków i trzy palankiny. Jeden z nich stoi pusty wśród drogi, leży w nim tylko wyszyta poduszka i czerwona kołdra w tygrysie pręgi; koło drugiego stoi mężczyzna w zielonych jedwabiach, a trzeci unoszą pospiesznie czterej rośli tragarze. W nim siedzi kobieta i przygląda nam się uważnie przez wązką szparę w zaciągniętej na okienko żółtej zasłonie. Na polach czernieją stożki wyzbieranych kamieni. Droga polepsza się nagle, staje się szeroka i ubita, zdatna do komunikacyi kołowej. Dużo ludzi pracuje w polu, w dali dymi się wioska. Od zachodu przyszła duża rzeczka, którą ma-phu nazywa Po-mo-gi. W wiosce przydrożnej młócą zawzięcie ryż, zajęli całą ulicę, ani przejechać.

Stąd wychodzimy nad brzeg jakiegoś wodozbioru, obrośniętego ślicznemi wierzbami i trzciną. Myślałem, że to szeroka, cicha rzeka, lecz tymczasem był to wązki, długi staw, utworzony przez zatamowanie strumienia. Opodal oracze orzą rżyska parami wołów. Skiby kładą stromo, bruzdy ryją głęboko, po kolana. Za każdym oraczem idzie chłop z motyką, rozbija bryły i równa skiby. Wioska. Dużo oberży. Na odrzuconych klapach okien kuchennych bieleją naczynia, gorej ą stosy złotych „kaki," wabią oczy pęczki rudego tytoniu. Mieszkańcy wylegli i przyglądają się nam; dwaj starcy z siwemi brodami, wsparci na kijach, wyszli aż na środek ulicy. Przechodzimy małą przełęcz i wstępujemy do kotliny, otoczonej szczelnie nagiemi górami; boki niektórych zorane, hen, po same szczyty; grunt nieszczególny, piaskowaty. Zwolna dolina zwęża się do 50 sążni; całą prawie wypełnia łożysko rzeczki. Minąwszy ciasny przesmyk, ujrzeliśmy znów obszerną dolinę i zaraz niedaleko dwie wsie. Nad rzeczką klekoce turbina. W przejeździe przez wioskę wpadamy na pucołowatego malca z olbrzymią rzodkwią, w czerwonej kurteczce, sięgającej mu ledwie do brzuszka; z początku śmieje się do spędzającego go z drogi ma-phu, lecz nagle spostrzega mnie, uśmiech mu się wydłuża i przechodzi w płacz pełen bezdennego przerażenia. Jegomość w fioletowej kurcie i wielkich, jak oczy sowy, okularach, patrzy na nas z jawną niechęcią.

Słońce skryło się za krawędź gór, dolinę powlokły długie ich cienie, ale na niebie lśni się jeszcze dzień. W zaroślach żółtej czumidzy, wybujałej powyżej człowieka i wśród badylów tęgiego, jak krzaki, gaolianu z granatowem ziarnem, brzęczą sierpy i słychać głosy, ale żeńców nie widać, tylko zboże kołysze się z szelestem, pochyla i wali. Drogą ciągnie sznur białych figur ku dymiącej się na widnokręgu wiosce. Jedzie karawana kupców, którą wyminęliśmy rano. Dognali nas, gdyż moje nieustanne zbaczania i wypytywania bardzo wstrzymują nasz pochód. Mijamy dwóch wracających z pola oraczy, jeden pędzi przed sobą parę wielkich, siwych wołów z prostymi, krótkimi rogami, drugi niesie na plecach rozebraną sochę. Cienie gęstnieją, w powietrzu czuć zimną wilgoć, z pól ryżowych wznosi się leciuchny opar i miesza z dymami wiosek. Za chwilę słońce zgaśnie, lecz nagle znalazło szparę

---

ją dość siły i sprawiają tylko kłopot z odsyłaniem ich, trzeba bowiem dać eskortę i wózek, których na miejscu nie bywa nigdy zawiele; młodsze zaś wywołują zamieszanie innego rodzaju z krzywdą dla wszystkich ranionych, prócz jednego, gdyż niema namiętności bardziej samolubnej i okrutnej nad miłość.

— Nierad jestem temu rozporządzeniu— rzekłem do młodego Sammy Fitz-Wornera z brygady morskiej, który mi przyniósł tę wiadomość.

— Nierad! — zawołał. — Tylko nie ja! Zaraz tu się zrobi weselej. Zręczne one— warte stokroć więcej, niż wasi parobcy z Czerwonego Krzyza.

— Różnie bywa — odrzekłem, otwierając butelkę whisky, którą dla mego osobistego użytku przywiózł Sammy na armacie.

Działo prowadził na front wojska i pysznił się niem bardzo.

— Wspaniała sztuka — zachwycał się— niepospolicie przebiegła.

Jadąc obok konno, wiódł ją, nie zatrzymując się, przez 70 mil pustynnego kraju, czuwał nad nią i taką otaczał opieką, jak matka lub kobieta wogóle.

— Dalipan, doktorze! — prawił z zadowoleniem, przyglądając się swym wysokim, żółtym butom, kupionym w składach armii i marynarki (znam ja je i unikam ich), żebyś widział, jak ta armata podróżuje, jak lekko się toczy, niby trycykl, i żebyś ją słyszał, kiedy zaczyna gadać — klik — klik — klik!

— Sodowej, czy czystej? — przerwałem [illegible]

— Sodowej — i dużo, bom się nałykał piasku co niemiara.

Spał tej nocy w maleńkiej lepiance, zbudowanej z ziemi i pokrytej staremi matami palmowemi, zwanej szumnie kwaterą naczelnego chirurga—tj. był u mnie w gościnie takiej, jaką mu mogłem ofiarować.

Znaliśmy się dawniej, obaj pochodziliśmy z jednych stron, z Devonshire, i rodziny nasze znały się też, co niemało znaczy w tych warunkach.

Wcześnie legliśmy obaj tej nocy, ja na materacu szpitalnym, Sammy na mojem łóżku; ale on długo nie mógł zasnąć. Leżał z rękami założonemi nad głową i wciąż gadał o swojej armacie.

Ja drzemałem, budząc się chwilami, ażeby słuchać szczegółów tego wykładu. O domu nie mówiliśmy, jak to piszą o tem w książkach. Być może dla braku obrazowości w życiu żołnierza. Cała nasza rozmowa toczyła się o armacie; i tylko raz jeden, przed samem zaśnięciem wspomniał Sammy o pielęgniarkach.

— Pierwsza nasza piła — rzekł — kazała ci powiedzieć, że otrzymała pozwolenie wysłania tu trzech sióstr. Słuchaj doktorze, bądź dla nich dobry. Poczciwoty! One by chciały jak najlepiej.

I z temi słowy zasnął, a ja leżałem rozmyślając nad tem, co powiedział i co go do tego skłoniło.

Nic nie wiedziałem o jego życiu, ale wydawał mi się dziwnie szczęśliwym, jak ten, kto ma coś przed sobą. O kobietach mówił tak zawsze, jak gdyby kochał je wszystkie za jedną; a ponieważ ja nie byłem w tem położeniu, więc wolałem, że zasnął.

O czwartej rano już cały fort był na nogach. Trąbka zagrała nam tuż pod oknem.

— Wszyscy na pokład, to znaczy chyba! — krzyknął Sammy.

O szóstej i on gotów już był do drogi. A dość było spojrzeć na jego ludzi, ażeby zrozumieć, jaki to był oficer.

Podczas gdy oni szykowali armatę w pochód, Sammy wpadł jeszcze na chwilę do mojego mieszkania, ażeby zjeść śniadanie.

— Jakoś mi dziś nieswojo — rzekł z uśmiechem. Mam nadzieję, że to nie przeczucie. Wy karawaniarze, którzy nie macie dla czego żyć, możecie bić się dla samej miłości bitwy. Ale ja nie mam ochoty zabijać ludzi. Ja ich wszystkich zanadto [illegible]

Po śniadaniu wyszedłem z nim i patrzyłem, jak wsiadał na konia, na którym trzymał się, jak krawiec lub marynarz. Cugle dzierżył w ręku, niby linę okrętową i z uśmiechem zadowolenia oglądał swoje żółte buty.

— Nietęgi kawalerzysta ze mnie — rzekł na pożegnanie. — Kiedy temu bydlęciu przyjdzie co do głowy i zacznie chmurzyć się — przepadam.

Z temi słowy podjechał do armaty i wydał rozkaz wyruszenia w pochód.

w skałach i zalało całą dolinę potokiem czerwonego światła. Przeciwległe, skolubiaste wiszary, zapłonęły jak stosy zarzewia, dołem tłuką się różowe mgły, wśród których niewyraźnie majaczą gaje nieożęgego gaolianu, szare, płaskie wioski i biali przechodnie. Chłopi tłumnie ruszyli z pól do domów, ale jakiś pracowity siewca u drogi ani myśli rzucać roboty i prószy pilnie do bruzdy ziarno porosłej pszenicy, zmieszanej z ziemią i tukiem; drugi idzie za nim i zagrzebuje posiew gracą, zadeptuje nogami.

Czuję zmęczenie, zrobiliśmy dziś 95 „i" (około 7 mil) i z przyjemnością wjeżdżam do wielkiej, zakopconej, dymiącej się wsi Sreul, nad rzeczką Tare, gdzie mamy nocować.

29 października.

Zatrzymałem się chwilę przed kapliczką, aby ją naszkicować w notesie. Śliczny poranek. Szczyty liliowych gór płoną różowo, a dołem wkoło wiszą mgły. Pola, wioski, drzewa i wody ledwie z pod nich przeświecają. Cicho bulkoce daleka rzeczułka; garbaty mostek zaznacza się nad nią niby rys, zrobiony ołówkiem. W jasnem przestworzu zjawiło się na wzgórku czarne pudło zamkniętej szczelnie lektyki i znikło, biali tragarze unoszą je pospiesznie, jakby uchodzili przed pościgiem. Coraz słabiej pobrzękują dzwonki oddalającej się odemnie karawany, coraz ciszej stukają kopyta koni po zamarzłej drodze. Brunatne, oszroniałe w czasie nocy skiby drzemią, drzemie kurz na pustej jeszcze drodze... Za nami od spowitej w sine dymy wsi rozległo się wołanie, lecz urwało i zamarło bez echa; ostrożnie, jak brzęknięcie komara, zadźwięczało gdzieś w ustroniu żelazo. Spokojnie. Wietrzyk trawki nawet nie muśnie. Teraz rozumiem, co to jest „Kraina Cichego Poranku" (Czo-sen)!

Dziwna kraina pracowicie uprawnych głębokich, cichych dolin wśród wysokich, jałowych, wietrznych skał...

Dosiadłem konia, ale notatnika wedle zwyczaju z rąk nie wypuszczam. Jeśli nie mogę zdążyć opisać przedmiotu albo krajobrazu, kreślę pospiesznie ich zarys. Książeczka moja wygląda niby japońskie, ludowe wydanie. Znów niewysoka przełęcz, a za nią nowa dolina. Wysoka, do końskiego zębu podobna „czumidze"; snopy na polach, koło nich skaczą i podlatują sroki. Kraj łagodnie sfalowany, pocięty szachownicą pól ryżowych i wszędzie zazdrośnie strzeżony przez łańcuchy gór zębatych. Pojedyncze, stare drzewa, krzywe sosny, rozłożyste dęby, jeszcze okryte czerwonem listowiem, czarne ilmy, o cienkich, żylastych gałązkach, wspaniałe, słodkie kasztany... Czasem tworzą małe gaiki albo szeregiem ciągną się wzdłuż drogi, jak żołnierze weterani. Wśród pól tu i owdzie okrągłe, kopcowate mogiły. Wioski uciekły z środka doliny, gdzie uprawne każde ździebełko ziemi; mieszczą się po obu stronach na chyliznach gór. Wyleciał z pod urwiska płowy sokół i nizko krąży nad niwami. Ryż jeszcze miejscami nie zżęty. Ludzi nie widać. Minęliśmy tylko gromadkę ratajów, grzejących się u ognia w oczekiwaniu, aż puści stężała ziemia. Włożone w jarzma woły stały, żując opodal, a dym ogniska stał się nizko po roli i mieszał z dymami dalekiej wioski. Nikłe słońce ledwie wybłysło z za szczytów. Góry zastąpiły nam drogę, zostawiając jedynie wązkie przejście.

Obszerna dolina otwiera się za przesmykiem na południo zachód. Drogi znagła zaroiły się. Widać wśród nich dużo wędrownych przekupniów (pu-sań) w żółtych, bambusowych kapeluszach - cylindrach. W oddali dostrzegam dziwną górę, samotną i ostrą, jak głowa cukru, z bukietem drzew sosnowych na czubku. Niedaleko piękna dolinka, obrosła wokoło sosnowym laskiem. Znowu karawany koni gniadych i siwych, ciężko objuczonych; z pod juk zwieszają się i kołyszą, jak chwasty upiększeń, małe, twarde miotełki ryżowe, używane zamiast zgrzebeł. Niewysoka przełęcz, laskiem ilmowym porosła. Pod nią zaraz wieś, rzeczka, wieś i znowu wieś... Mijamy nizką przełęcz i niespodzianie błyska w dole tuż pod nami duże jezioro. Nie znalazłem tego jeziora na żadnej mapie i nie odszukałem o niem nigdzie nawet wzmianki.

— Han-ioul-kaul.. — powiedział mi tonsa. — Sto dziesięć „i" od Seulu!

Na wschodnim jego brzegu wznosi się wprost z wody stroma opoka, zachodni jest płaski, kamienisty i widocznie często zalewany przez wodę. Z jeziora wypływa niegłęboka, ale bardzo bystra i dość szeroka rzeka, zawraca na zachód i ginie wśród stromych, wysokich gór. Od wschodu prawie pod kątem prostym wpada do jeziora inna rzeczka, równie bystra, ale mniejsza.

Przeprawiamy się przez pierwszą rzekę na promie; za przewóz trzech ludzi i dwóch koni biorą od nas 50 phun (10 kop.); przecinamy kamienistą ławicę i przechodzimy marny, drżący mostek na drugiej, wyższej odnodze rzeki, poczem porzucamy piękną dolinę jeziora i przez małą przełęcz dostajemy się do sąsiedniej. W dolinie gaje dębowe, na podgórzach zarośla sosnowe. Wioska. U wjazdu ołtarz z kamieni i duża wiązka drągów i tyczek, obwieszonych słomianymi sznurami i gałgankami. Droga wiedzie przez słabo zalesiony wzgórek, ponad którym wyżej kędzierzawią się zagajniki dębiny. Piękna mogiła, której strzegą dwie stare sosny. Przełęcz, rzeczułka w jarze pod zachodniemi górami. Mała kotlina wśród kopcowatych gór. Na przełęczy ołtarz z kamienia. Wszędzie pola uprawne. W dole parę chałup, niedaleko kamienistego łożyska potoku. Dolina zwraca na wschód, skąd płynie strumyk. Zawracamy i my, dążąc w górę jego biegu. Rzeczka zwie się Tąng-czak. Niedaleko u drogi gaj ogromnych, drzewiastych jałowców. Okolica bardzo ludna, wybornie uprawna; oddzielne domki i małe wioseczki kryją się wśród zarośli. Widocznie mieszkańcy już nie obawiają się tygrysów i zbójców. Sieć dróg i dróżyn rozwidla się w rozmaitych kierunkach. Podczas gdy w gaju zbierałem owady, moi ludzie zniknęli za wzgórkiem. Nie znalazłem ich na drodze, a we wsi o 4 „i" dalej powiedziano mi, że ludzie moi zostali w tyle. Wracam, spotyka mię przerażony ton sa.

— Co się stało?!..

— Nie wiedząc, że sir życzy sobie zatrzymać się tutaj, przygotowaliśmy już wszystko w innej *sul-magi* (oberży).

Powiedział mi, że duża wieś, którą porzuciliśmy, zwie się Phut-kezang i znajduje się o 80 „i" od Seulu. W pół dnia zrobiliśmy 50 „i" (3½ mili).

Po obiedzie ruszamy dalej. Przed nami otwiera się obszerna dolina, cała w polach ryżowych. Moc wiosek przylepionych do podgórzy po obu jej stronach; zdarzają się wszakże sadyby i pośród pól. Wszędzie na

---

Cały ten dzień byłem zajęty przygotowywaniem kwatery dla pielęgniarek, a że musiałem wskutek tego niektóre z naszych zapasów wyrzucić na dwór, więc tem większego nabrałem przekonania o niewłaściwości wydanego rozporządzenia.

O dziewiątej wieczorem przybyły. Jeden z młodszych lekarzy, który wyjeżdżał na ich spotkanie, zdał mi raport, że były tak zmęczone, iż zalecił im udać się na spoczynek.

Potwierdziłem zalecenie, przesyłając im przez niego rozkaz, aby nie pokazywały się do następnego ranka.

O północy zbudził mię ordynans wezwaniem do namiotu dowódcy. Twarz tego młodzieńca znalazłem bledszą, niż jego bielizna. Naradzał się z najstarszym po sobie oficerem — także coś około 23 lat liczącym zuchem.

Na stołku siedział człowiek obryzgany krwią i błotem, pijąc coś ze szklanki.

— Wiadomości z frontu? — zapytałem bez ceremonii, z którą dawno wzięliśmy rozbrat.

— I niedobre.

Istotnie nie były dobre. Ktoś wymówił nawet słowo „klęska." Wszyscy niespokojnie patrzyliśmy sobie w oczy. Mnie przypomniały się kobiety i postanowiłem odprawić je z powrotem, zanim się rozwidni.

W kilka minut świeży człowiek, co koń wyskoczy, pędził już w blasku nocy księżycowej do głównego obozu. Młody oficer odzyskał ducha cokolwiek, zdaje się zaczerpnął go w szklance. Ja zabrałem się do swojej roboty, do przygotowania swych ludzi, wydawszy rozporządzenie nie budzenia pielęgniarek. Klęska na froncie, znaczyła ciężką pracę na tyłach — o tem wiedzieliśmy dobrze i chcieliśmy być gotowi.

Napływ rannych zaczął się ze świtem. W miarę, jak przybywali, opatrywaliśmy ich, układając, jak można było najciaśniej. Lecz nie było im końca, nie mogliśmy nadążyć.

O szóstej kazałem obudzić siostry i przygotować ich mieszkanie dla rannych. O pół do siódmej jeden z ludzi, należących do ambulansu, wbiegł z raportem.

— Straszny wypadek, proszę pana doktora — Oficer — armata rozerwała.

Wnieście go do mojej kwatery — rzekłem, wycierając instrumenty o rękaw.

Po chwili wchodziłem tam, i na samym wstępie uderzyła mój wzrok para żółtych butów. A choć nie mogłem dojrzeć twarzy rannego, nie miałem żadnej wątpliwości, że Sammy Fitz-Warner powrócił do mnie.

Kobieta, jedna z pielęgniarek, stała pochylona nad nim z gąbką w ręku. Wzrokiem spotkałem się z jej oczami, pełnemi cichego przerażenia.

— Ach! — westchnęła, usuwając się aby zrobić mi miejsce. Nie miałem czasu zauważyć wówczas, że była to jedna z tych wspaniale zbudowanych istot o prześlicznej cerze i jasnych włosach, które nawodzą myśli, czem musiała być Anglia przed wtargnięciem krwi gallickiej do jej żył.

— Proszę odsłonić to okno — rzekłem, wskazując tymczasowo zawieszoną tam matę.

Polecenie spełniła szybko i wróciła na poprzednie swe miejsce, oczekując dalszych rozkazów.

Pochyliłem się nad rannym: przejął mię dreszcz zgrozy, którego nie zapomnę do końca życia.

Dałem znak siostrze, aby nie przerywała obmywanie rany z błota i piasku.

— Oba oczy stracone — szepnęła.

— Nie tykać szczytu czaszki — odrzekłem. Obecje wiedzieliśmy, że zabiegi nasze były daremne.

Nie mogłem jednak odejść od niego, choć byłem potrzebny gdzieindziej — znałem go dawniej.

Nagle poruszył ustami. Siostra przyklękła i pochyliła się nad nim.

Nie mogłem dosłyszeć, co mówił, lecz ona rozumiała go. Wargi jej szepnęły „tak", a po twarzy rozlał się wyraz wielkiej tkliwości.

Po chwili wstała i podeszło do mnie.

— Kto on jest? — zapytała.

— Fitz-Warner z brygady morskiej. Czy pani go zna? — Nie. Nie słyszałam o nim nigdy. Naturalnie niema tu już żadnej nadziei?

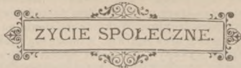
— Żadnej.

Wróciła na dawne miejsce przy łóżku, rękę położyła mu na piersi. Znów zaczął

ulicach suszy się na matach świeżo omłócony ryż lub pszenica, leżą kupy plewy i sterty słomy. Pachnie ziarnem. Wieśniacy i wieśniaczki mają twarze zadowolone, gdyż rok był urodzajny, buziaki dzieciaków okrągłe są i rumiane. Dostrzegam większą staranność w uprawie roli, miedze pól w wielu miejscach obsadzone drzewami, w bróżdach zielenią się smugi ozimej pszenicy. Niwy czumidzy, grochu, jęczmienia wdzierają się wysoko na pochyłości, w dole głównie ryż. Krajobraz przybiera zupełnie chiński charakter. Pod rozłożystym dębem widzę niedaleko trzy duże mogiły z kamiennemi figurami i płytami przed każdą. Opodal w lasku sosnowym znowu mogiły. Drogi równe, gładkie, dość szerokie i nieraz wysadzone drzewami. Stronami jednak ciągną się wciąż guzowate, strome góry korejskie, porosłe rzadką sośniną. Ale dzięki rosnącej obfitości drzew okolica wygląda coraz wdzięczniej, staje się rozmaitszą i każe zapominać o dzikich, nieużytych skałach.

Zresztą zdarzają się niespodzianki; piękna droga nagle znika, napół rozmyta przez rzeczułkę. Jedziemy czas jakiś szlakiem grubego, białego piasku, widocznie naniesionego przez rzeczkę, gdyż wyściela on jej dno. Piasek zasypuje pola, białe jego strugi spływają z gór sąsiednich, niszcząc po drodze roślinność. W dali przed nią widać białe, mocno poszczerbione szczyty, to granitowe wiszary Sam-kgyk-san'ia, wznoszące się już nad doliną Seulu na 800 bez mała metrów. Spotykane wsi robią wrażenie, jak gdyby składały się wyłącznie z zajazdów. U wszystkich domów klapy kuchenne odrzucone, bieleją na nich łyżki i miski, a w głębi widać leżące wiktuały. Na ulicach ruch, w szopach konie łapczywie jedzą obrok, kwiczą i biją się. Na drogach dużo przechodniów, a około dróg i dalej wszędzie dużo mogił. Niektóre okopane półkolistym wałem, upiększone słupami kamiennymi i figurami, ocienione staremi drzewami. Inne nagie, zaniedbane, stoją na słonecznej spiekocie, podobne do brzydkich osypisk gór korejskich. Wiatr zwiał z nich ziemię i z niektórych sterczą rogi trumien. Należy przypuszczać, że synowie nieboszczyków pomarli, wynieśli się z okolicy lub popadli w ostateczną nędzę.

(C. d. n.) *W. Sieroszewski.*



ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Sprawa Modliszewa. — Przyszłość banków i spółek parcelacyjnych.

Skandaliczny proces w Pile, rzucający snop jaskrawego światła na stosunki, panujące w kołach „urodzonych przywódców narodu," szybko został zapomniany wobec nowego skandalu. Oto przedstawiciel arystokratycznej rodziny Bnińskich — hr. Jan, znany lekkoduch i karciarz, poszedł w służbę Komisyi kolonizacyjnej i stał się nabywcą dla niej majątków polskich. Tego jeszcze Poznańskie nie znało. Przedstawiciele arystokracyi zgrywali się w karty — nietylko w Monaco ale i w Bazarze poznańskim, sprzedawali swe majątki Komisyi kolonizacyjnej, ale agentem tej instytucyi dotychczas żaden z nich nie był. Hrabiemu Janowi Bnińskiemu należy się palma pierwszeństwa.

Sprawa kupionego dla Komisyi kolonizacyjnej Modliszewa nie schodzi z porządku dziennego, hr. Jan Bniński nic sobie naturalnie z tego nie robi, a dr. Józef Żychliński, uprzedni właściciel tej wielkiej posiadłości, wykręca się jak może, choć opinia publiczna upatruje w nim — i nie bez słuszności — wspólnika hr. Bnińskiego. Dr. Żychliński dowodzi, że ani się domyślał, aby hr. Bniński mógł kupić Modliszewo dla Komisyi kolonizacyjnej, tymczasem powszechnie było wiadomo, że hr. Bniński bynajmniej nie jest krezusem i w żaden sposób nie może rozporządzać milionem marek, zapłaconym przezeń za Modliszewo. Niedość na tem, gdyby dr. Żychliński chciał zasięgnąć informacyj, co do sytuacyi hr. Bnińskiego, to otrzymałby je bez trudu. Chodzi o to, że hr. Bnińskiego już dawniej podejrzewano o służenie za pośrednika Komisyi kolonizacyjnej i właśnie na skutek tych podejrzeń rozbiły się pertraktacye pomiędzy nim a dawnym bankiem parcelacyjnym, dotyczące kupna wielkiego majątku ziemskiego.

W sprawie Modliszewa mamy więc dwie strony. Z jednej przedstawiciel gniazda arystokratycznego wysługuje się antipolskiej instytucyi, z drugiej zaś człowiek zażywający powszechnego szacunku w społeczeństwa, korzysta z pierwszej, nadarzającej się sposobności, aby jak najdrożej sprzedać majątek, nie interesując się, kto nabywa. Nie wiadomo, kogo tu bardziej potępiać, czy tego, kto otwarcie pali za sobą wszystkie mosty, czy tego, kto, mogąc się domyśleć, że majątek przejdzie w ręce Komisyi kolonizacyjnej, udaje najzupełniej niewinnego i w dalszym ciągu rości sobie prawo do szacunku ogółu.

Obecnie głosy prasy zwracają się przeciwko doktorowi Żychlińskiemu i żądają od niego, aby starał się o odebranie Modliszewa. T. zw. przewłaszczenie jeszcze nie-nastąpiło i faktycznym właścicielem jest dotychczas hr. Bniński. Odebranie więc z powrotem nie byłoby niemożliwością. Dr. Żychliński ma prawo domagać się zwrotu majątku w drodze sądowej. Jeżeli prawdą jest, że wskutek oświadczenia hr. Jana Bnińskiego, iż dobra zakupuje dla siebie, dr. Żychliński sprzedał je, jako Polakowi, z pewną zniżką ceny, w takim razie zachodzi tu wypadek zwykłego oszustwa w myśl § 262 kodeksu karnego. Na wniosek dr. Żychlińskiego prokuratorya musi wytoczyć hr. Bnińskiemu proces. Według §123 kodeksu cywilnego cały akt sprzedaży oraz zapisy hypoteczne byłyby nieważne, wobec czego proces (o ile fakty podane przez dr. Żychlińskiego są prawdziwe) jest najzupełniej pewny, choć kosztowny. Zresztą to ostatnie nie powinno w grę wchodzić, gdyż dr. Żychliński jest człowiekiem bardzo zamożnym. Tymczasem nie kwapi się on bynajmniej z wytoczeniem procesu, co rzuca bardzo brzydkie światło na jego rolę w całej tej sprawie.

Sprzedaż Modliszewa pokazuje, z jakiemi trudnościami musi walczyć Komisya kolonizacyjna, chcąc zdobyć majątek polski. Właściciel wielkiej posiadłości, któryby sprzedał Komisyi majątek zupełnie otwarcie, należy dziś, wobec rozbudzonej opinii publicznej, do rzadkości. Agentowi-Niemcowi też nikt, szanujący się, majątku nie sprzeda, gdyż skompromitowałby się w

---

coś szeptać. Zrozumiałem nagle, że nieprzytomny bierze ją za kogoś innego, a ona dla jakichś kobiecych względów oszukuje go umyślnie.

Starałem się nie patrzeć, ale wszystko widziałem. Widziałem jak błędne ręce przesuwał po jej szyi, twarzy i włosach.

— Co to?—szepnął całkiem wyraźnie.— Co znaczy ten czepek?—I palce jego błądziły po białem płótnie, aż natrafiły na wiązanie. Siostra klęczała, chyląc się nad nim coraz niżej i podpierając ręką biedną, roztrzaskaną jego głowę. On zwolna zepchnął czepek i zaczął muskać palcami miękie, jasne jej włosy.

— Marni — wyrzekł dobitnie — zapięłaś włosy, a dziecko jeszcze z ciebie.

Nie mogłem oczu oderwać od jego palców, choć czułem, że popełniam świętokradztwo.

— Kiedym odjeżdżał — mówił nieprzytomnie — nosiłaś warkocz puszczony. Byłaś wtedy małą dziewczynką — i teraz jesteś małą dziewczynką.

Powoli wyciągał szpilkę, aż splot włosów rozsypał się po jej plecach. Nie podniosła oczu, nie zwracała na mnie uwagi, pochłonięta anielskiem swem zadaniem, wyobrażenia istoty, której oboje nie widzieliśmy nigdy.

— Moja dzieweczka — zaśmiał się cicho i wyciągnął drugą szpilkę.

W jednej chwili płaszczem złota pokryły się jej ramiona. Nie byłbym przypuszczał że takie jego bogactwo kryło się pod skromnym czepeczkiem pielęgniarki.

— Teraz lepiej — mówił on — teraz lepiej. — I upuścił szpilki na kołdrę. — Teraz to już moja Marni — szepnął — Czy moja?

Chwilę zawahała się. — Tak, najdroższy — wyrzekła miękko. — Ja twoja Marni. — I ręką, którą miała wolną, głaskała go po twarzy. W tem jej poruszeniu przebijała się pewna umiejętność, jak gdyby nie było dla niej nowością. A on palcami od dymu poczerniałymi zwolna, miłośnie gładził jej cudne włosy. I ośmielając się coraz więcej, dotykał oczu, twarzy, ust, zsuwał się na ramiona, wzdłuż jej postaci.

— W ogrodzie pracowałaś? — zapytał, namacawszy fartuch pielęgniarki.

— Tak, najdroższy — odparła.

— Twój fartuszek zupełnie mokry — rzekł z wyrzutem, dotykając jej piersi, gdzie zasychała krew — jego własna krew.

Ręka jego błądziła po niej, a jej twarz zalewała taka fala tkliwości, że czułem, iż patrzę na jakąś świętą chwilą z życia Siostry. Na mgnienie poruszyła się, jak gdyby cofnąć się chciała, lecz odważnie zapanowała nad sobą. Oczy jej jednak przyćmił wyraz bólu. Jakie wspomnienie to dotknięcie umierającego zbudzić musiało w jej sercu?

— Marni — szeptał on — Marni — Wszak nie było ci ciężko czekać na mnie?

— Nie, najdroższy.

— A teraz wszystko już dobrze. Co najgorsze minęło.

— Tak.

— Marni, pamiętasz — tej nocy — kiedym odjeżdżał — Marni — ja chcę — nie — nie — twoich ust."

Kląkłem spiesznie i wsunąłem mu rękę pod koszulę, gdyż w twarzy zobaczyłem...

W chwili, gdy usta Siostry dotknęły ust jego, poczułem jak serce gwałtownie uderzyło mu w piersi i zamilkło natychmiast.

Kiedy podniosła głowę, twarz jej była tak blada, jak jego.

Muszę przyznać, że czułem się blizki płaczu; czegoś podobnego nie doznałem w ciągu lat dwudziestu. Umyślnie zająłem się umarłym, a kiedy odwróciłem się od niego, Siostra siedziała już w czepeczku na głowie, ukrywszy pod nim włosy.

Podpisałem, przygotowane przez nią świadectwo śmierci, kładąc moje nazwisko pod jej podpisem.

Chwilę staliśmy naprzeciw siebie. Oczy nasze zetknęły się, lecz usta milczały. Ona zwróciła się do wyjścia. Otworzyłem jej drzwi i czekałem, aby przeszła.

W dwie godziny potem dostałem rozkaz odesłania pielęgniarek do kwatery naczelnej.

Cofaliśmy się.

niemniejszy sposób. Trzeba więc szukać agentów-Polaków. Ale ci, to towar bardzo drogi, bo tu chodzi o osoby niebudzące podejrzeń, solidne i cieszące się zaufaniem. Znaleziony nie bez wysiłków, taki agent bardzo prędko zużywa się, bo przy pierwszej już tranzakcyi prasa podnosi gwałt i on jest skompromitowany. Trzeba szukać nowych i płacić im coraz drożej, zwłaszcza jeśli chodzi o ludzi z takiem nazwiskiem, jak hr. Biniński. Nic więc dziwnego, że nabywanie ziemi polskiej przychodzi Komisyi kolonizacyjnej z coraz większym trudem, i tem się tłomaczy między innymi fakt, że w r. 1903 na 150,000 mórg zdołała ona zakupić od Polaków zaledwie 12,000, resztę nabyła od Niemców.

Z powodu sprzedaży Modliszewa w prasie poznańskiej wyłaniają się obecnie różne projekty zapobiegania na przyszłość zdradzieckim konszachtom. Tak np. powstała myśl założenia w Poznaniu specyalnego biura informacyjnego i wywiadowczego, któreby zbierało i publikowało dane, dotyczące zmów właścicieli z agentami i pośrednikami Komisyi kolonizacyjnej, demaskowało zawczasu tych ostatnich itd. Następnie prasa żąda, aby każdy, sprzedający majątek, włączał do aktu kupna klauzulę, uniemożliwiającą przejście jego w ręce niemieckie. Akt sprzedaży powinien zawarować wieczyste prawo pierwszeństwa dla jakiejkolwiek instytucyi polskiej w razie dalszej sprzedaży, albo też żądać kary konwencyonalnej w wysokości co najmniej 20% ceny kupna na wypadek, gdyby majątek drogą sprzedaży lub zamiany dostał się w przeciągu 10—15 lat w ręce niepolskie.

Wejście w życie nowej ustawy osadniczej zrodziło obawy co do dalszych losów znacznej liczby banków i spółek parcelacyjnych, istniejących na całym obszarze Prus polskich. Dawały się nawet słyszeć głosy, że instytucye te będą musiały niechybnie zbankrutować albo całkowicie zawiesić swą działalność. Tymczasem tak nie jest bynajmniej. Spółki te muszą tylko wyrzec się tranzakcyj, wymagających konsensów budowlanych i osadniczych. Ale i dotychczas zrzadka zaledwie mogły podejmować się tworzenia nowych osad, ponieważ władza najczęściej niszczyła takie zamiary, stawiając nadzwyczajne żądania i domagając się wysokich ofiar pieniężnych. Władze twierdziły zwykle, że przez korzystanie z konsensu kolonizacyjnego ulegną zmianie stosunki gminne, szkolne i kościelne. Żądano pokrycia poniesionych wrzekomo wydatków na rozszerzenie kościoła i ustanowienie przy nim większej liczby księży, na ustanowienie nowych klas szkolnych, na pensye nauczycieli itd. Sumy te dochodziły niekiedy do wysokości dziesiątków tysięcy marek, i banki parcelacyjne nie mogły bez obawy bankructwa zadosyć uczynić tym żądaniom. Zakupywały więc majątki, które nadawały się do parcelacyi bez konsensu kolonizacyjnego, a nawet budowlanego, co i na przyszłość będzie możliwe.

Tak więc spółki i banki parcelacyjne będą mogły kupować i sprzedawać mniejsze i większe majątki w całości, zajmować się podziałem części gospodarstw, folwarków i większych posiadłości między gospodarzy i chałupników, sąsiadujących z parcelowanym majątkiem i sprzedawaniem pozostałych z parcelacyi dworostw w całości, następnie dopomaganiem kapitałami swymi finansowo słabym do kupowania gruntów i majątków w całości lub w częściach, udzielaniem pożyczek hypotecznych, wreszcie pośredniczeniem przy wydzierżawianiu majątków.

Obecnie daje się zauważyć wśród włościan silne dążenie do powiększenia swego gospodarstwa przez dokupienie stosownego obszaru lub też nabycie większej posiadłości. W tym ostatnim wypadku gospodarz odprzedaje swą dawną posiadłość mniej zamożnemu. I tu i tam pośredniczy bank parcelacyjny. Wskutek działania nowej ustawy niewątpliwie wzmoże się ruch na polu wykupywania przez spółki gospodarstw niemieckich i sprzedawania ich chłopom polskim.

Pośrednik.

Przeciw prostytucyi.

III.

„[illegible] pień społecznych, nie mówiąc o nich [illegible]."
[illegible]

Niemoralność gubi narody, — podniesienie moralne odradza narody.

W poprzednich artykulach *), pisząc o zniesieniu prostytucyi w kantonie Zurichskim, poruszyłem sprawę szkodliwości jej dla społeczeństwa.

W literaturze naszej posiadamy o tem cenną broszurę Wysłoucha p. t. „Ohyda wieku," która ukazała się już w dwóch wydaniach, zapowiadając utworzenie w Warszawie „Towarzystwa podniesienia moralności publicznej." Towarzystwo to u nas tembardziej potrzebne, że śród naszego społeczeństwa zakorzenił się głęboko straszny przesąd, wskutek szerokiego rozpowszechnienia wywierający suggestyę masową na lepsze nawet i szlachetniejsze jednostki, niepozwalając im stawić mu czoła i wciągając je w stan upodlenia.

Przesąd ten polega przedewszystkiem na tem, że „młodzieniec po dojściu do dojrzałości powinien zadawalać swe potrzeby płciowe," że może to robić na drodze miłostek, lub korzystać z prostytucyi legalnej, że to jego postępowanie może pozostać bezkarnem, byle tylko zbyt jawnie się nie kompromitował. Tylko w takim razie opinia zwraca się przeciw niemu. Kobieta zaś na tej samej podstawie ma całkiem inne prawa: jej niewolno korzystać z dojrzałości płciowej po za małżeństwem. Gdy zaś dziewczyna pozwoli sobie postępować tak, jak mężczyzna, zostaje oddaną pod dozór policyi i zadeptaną przez pogardę ogólną.

Na Zachodzie coraz częściej i coraz gromadniej podnoszą głos przeciw temu zwyczajowi najlepsi ludzie obojej płci, różnego wieku i różnych stanów. Najlepsi i najuczciwsi uczeni i specyaliści w sprawach etyki i hygieny społecznej oraz zachowania zdrowia jednostek, jednogłośnie występują przeciw tym zgubnym mniemaniom, i trzeba starać się tylko o rozpowszechnienie i zastosowanie zdrowych poglądów na tę sprawę, aby na miejsce społecznej suggestyi niesprawiedliwości i brudu w stosunkach płciowych, postawić równie silną suggestyę społeczną sprawiedliwych, równych praw dla obu płci i zdrowego, *czystego życia płciowego.*

Tak jest, też same prawa, jakie ma mężczyzna, powinna mieć kobieta. Gdy społeczeństwo odejmuje prawo rozpusty kobietom, powinno odjąć je też i mężczyznom, ponieważ ani sprawiedliwość, ani doświadczenie, ani wiedza nie znają pod tym względem różnicy pomiędzy obu płciami.

Prostytucya legalna istnieje dla mężczyzn, jako „klapa bezpieczeństwa" dla ich wyuzdania. Utrzymują się nieuzasadnione obawy, że z zamknięciem tej „klapy" zrujnuje się rodzina.

Bynajmniej. Ze zniesieniem prostytucyi, ze zrównaniem praw obu płci i z wpojeniem w serca i umysły młodzieży wiary, że czystość płciowa jest dla niej dostępną, możebną i korzystną, z nietolerowaniem rozpusty zarówno męzkiej jak i żeńskiej, ze zniesieniem przesadnej pogardy dla chwilowego upadku kobiety, ze zwiększeniem tolerancyi dla życia „na wiarę," jeżeli to życie opiera się istotnie na stosunku rodzinnym i prawdziwej miłości, a tem samem stoi daleko wyżej od wielu małżeństw legalnych,—życie rodzinne tylko się wzmocni, podniesie, zyska na wartości rzeczywistej i zajaśnieje piękniejszym blaskiem.

Nie zamierzam na razie snuć wywodów, logicznych, na doświadczeniu i na wiedzy opartych, bo u nas głosów pojedyńczych nie rozumie się, nie słucha nawet i nad najsprawiedliwszymi ich nawoływaniami przechodzi się do porządku dziennego. Myśmy zwykli zważać tylko na to, co mówią „autorytety." Niech więc one się odezwą!

Wiktor Hugo powiada: „Mówią, że niewolnictwo znikło z nastaniem cywilizacyi. Jest to błąd, ono wciąż istnieje, lecz dotyczy tylko kobiety i nazywa się: prostytucya. Jest to jedna z największych hańb mężczyzny."

Dr. Höflel-Buschweiler: *) Z jakiegokolwiek punktu widzenia będziemy sądzić prostytucyę, czy hygieny publicznej, czy też prywatnej, należy zarówno potępić tolerowanie jej, jak też i rządową opiekę nad nią. Nie odpowiada ona żadnej istotnej potrzebie jednostek, ani też społeczeństwa i nietylko nie przynosi żadnych korzyści zdrowiu publicznemu i nie daje żadnego zabezpieczenia od syfilisu, nietylko nie wpływa na zmniejszenie prostytucyi tajnej, ale przeciwnie — stwarza atmosferę występku, jest przyczyną zepsucia obyczajów i trwałem ogniskiem, z którego rozpowszechniają się choroby zakaźne."

Międzynarodowa konferencya w Brukselli przeciw chorobom płciowym postawiła na wniosek prof. Lassara z Berlina następującą rezolucyę: „Uprasza się rządy o powzięcie wszelkich odpowiednich środków w celu zwrócenia uwagi publiczności, osobliwie zaś młodzieży, na szkody, jakie przynosi prostytucya zdrowiu obu płci."

Prof. Desprès, który zbadał bardzo dokładnie stan prostytucyi w Paryżu i zapoznał się z grasowaniem jej w Europie, powiada, że w tych krajach, gdzie prostytucya jest najszerzej rozwinięta, tam też najpowszechniejsze są stosunki nierządu.

Dr. Paul Good mówi: **) „Młodzież dostaje pozwolenie na zadowolenie swego popędu płciowego i idzie szukać prostytutek, które jako wyrzutki społeczeństwa znajdują się w takiej pogardzie, że gdyby młodzieniec usłyszał tę nazwę hańbiącą, zastosowaną do jego matki lub siostry, gotów byłby bronić ich czci życiem, krwią własną. Lecz prostytutki potrzebują wspólników do swego występku i znajdują ich w tej samej młodzieży. Młodzieniec nie myśli o tem, że bez względu na stopień pohańbienia, tej istoty upadłej, on popełnia z nią nowy czyn, równie godny potępienia, jak pierwszy, że świadomie i dobrowolnie popełnia bezeceństwo, którego jest często głównym sprawcą.

Mężczyzna, ostatecznie odpowiedzialny za ich hańbę, nie chce widzieć w tych kobietach nic innego, jak płeć i zapomina o wszystkiem innem, zapomina, że kobieta jest zawsze kobietą, chociażby najniżej upadła.

Prostytucyę z całym jej odrażającym orszakiem skutków, chorób, rajfurstwa, oszustw, rozporządzeń i urządzeń administracyjnych, wytwarza daleko więcej mężczyzna, niż kobieta. Powtarzając słowa przesądu, że „trzeba", uzasadnia się zło, ciągłe deptanie wszystkich praw istoty ludzkiej. Niecnem jest kupowanie i sprzedawanie ciała, jak towar. Prostytucya stworzyła w ludzkości osobną kastę, niby pa-

*) *Prawda* nr. 15, 16 i 17 r. b.

*) „Die Teorie des notwendigen Uebels." 1895.
**) „Hygiene et Morale." 1902.

ryasów indyjskich, klasę najnieszczęśliwszych stworzeń.

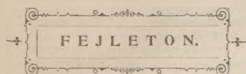
Mówią: Trzeba, aby młodzieniec się wyszumiał. Czemuż nie powiedzą: trzeba, aby dziewczyna się wyszumiała? Na jakich podstawach opiera się to zapatrywanie hygieny, różne dla obu płci?

Taż sama kobieta, która być może z pobłażliwym uśmiechem patrzy na wybryki swego syna, umarłaby ze wstydu i boleści, dowiedziawszy się, że jej córka źle się prowadzi; nie uderza jej nielogiczność wymagania, bo przecież hańba, która ją zabija jest w swej istocie taką samą, jaką jej syn przynosi. Jeżeli istnieją dwie płci, to jednak nie może być dwóch praw społecznych lub też dwóch praw moralnych, osobliwie gdyby różnica w tych prawach wyrażała się na szkodę słabszego a na korzyść silniejszego. Wina jest taką samą, czy dotyczy ona kobiety, czy mężczyzny."

Faustin Hélie: „Mężczyzna własnowolnie idzie szukać wspólniczki, przynosi jej zarazę, — kobietę zaś poddają badaniu lekarskiemu, aresztują, więżą. Mężczyzna wychodzi od niej z czołem podniesionem, jest wszędzie dobrze przyjmowany; jego wspólniczka nie więcej winna od niego, zostaje wzgardzoną, w błoto zepchniętą, gdzie musi pozostać na zawsze. Piękna sprawiedliwość!"

(D. n.)

A. Wróblewski.



WARSZAWA

w zdjęciach migawkowych

Idę od Trębackiej do Krakowskiego Przedmieścia.

Śród czterech zniczów, na tle z błękitu i z dachówek ceglastych stoi Mickiewicz. Dłoń ma na piersi. Natchnienia nie ma na twarzy. Deklamuje improwizacyę Konrada — w tonie pytającego zdziwienia:

Ja mistrz? Wyciągam dłonie? I kładę me dłonie
Na gwiazdach, jak na szklanych harmoniki kręgach?

Słusznie się dziwi i pyta Mickiewicz na pomniku.

To nie jest Mickiewicz improwizacyi.

Ale bądź co bądź to jest drogi Mickiewicz.

O, bardzo *drogi!!*

Lecz cicho! Miłość nie liczy!..

. . . .

U wrót Nowego Świata.

„Siedzi Kopernik na kamiennym słupie."

I duma:

Dlaczego nikt nigdy na mnie nie spojrzy z uwagą?

Czy nie jestem najwyższym tytułem chwały tego narodu?

Czy urodziłem się sarmatą tylko z przypadku?

Czy tylko przez pomyłkę nie urodziłem się Niemcem?

Niemcy lub Anglicy stworzyliby przez pietyzm towarzystwo mojego imienia, zgromadziliby w kraju wszystkie po mnie pamiątki, założyliby bibliotekę z dzieł, które mówią o moim żywocie i zasługach. Ale tego nawet nie żądam.

Nie pytam, czy streszczenie polskie mojego dzieła „De revolutionibus" Kowalczyka spleśniało na półkach księgarskich, w ilu znalazło się rękach, czemu nie doczekało się drugiego wydania? Mniejsza i o to..

Ale dlaczego w tym kraju jestem zupełnie bezpotomny?

„Wstrzymałem słońce, wzruszyłem ziemię."

Moje dzieło ciągnęli Anglicy, Niemcy, Francuzi, Włosi, Amerykanie. Badali cudowne tajemnice nieba.

Moi rodacy postawili mi pomnik, stworzyli o nim jeden epigramat — i odeszli.

Przechodzi ich tylu co dnia. Nigdy nie spojrzą na mnie.

Przechodzi ich tylu co noc. Nie widziałem nigdy, aby spojrzeli na niebo.

Czy tu nikt nie kocha królowej nauk — astronomii?

Czy sądzonem było, aby tylko raz jeden „astronom sarmacki" odcyfrował zagadkowe znaki na niebie?

Jest na południowem niebie konstelacya, ochrzczona polskiem imieniem: „Tarcza Sobieskiego."

Ale gwiazdy jej śledził i nazwał — Niemiec!

. . . .

Ulica Królewska.

Na bramie Saskiego ogrodu fotografia Sienkiewicza.

Na fotografii aforyzm, wypisany ręką Sienkiewicza:

„Prawdziwie dzielnym pracownikiem jest ten, kto obcym chce nietylko dorównać, ale ich przewyższyć."

Przed fotografią stoi Edyp i myśli:

Oto naród-sfinks!

Jaki to dziwny naród, który *dzielność* i *pracę* ustami jednego z najwybitniejszych swoich synów określa nie stopniem wysilków i nie owocnością rezultatów, lecz *miarą próżności*: „przewyższyć obcych!"

Jakich obcych? — w czem przewyższyć?

Wszystko jedno! byle przewyższyć. „Prawdziwie dzielnym pracownikiem jest ten" itd.

Prawdziwie dzielnym?

Więc jeżeli ten naród dorówna Anglikowi w technice, Niemcowi w porządku, Francuzowi w twórczości i szybkiem wcielaniu nowych idei — to jeszcze nic będzie *prawdziwie* dzielnym.

Myśleć o dorównaniu obcym narodom Zachodu — furda! To za mało, to nic! Mierz siły na zamiary! Tu odrazu się myśli o przemyśle wyższym nad angielski, o nauce wyższej nad niemiecką, o postępie wyższym, niż francuski...

Bodaj myśli się także o artyleryi lepszej, niż japońska!..

I to wszystko jest możliwem!

Dlaczego?

Bo nie potrzeba robić nic, trzeba tylko chcieć.

Samo *chcenie* uważa się już za prawdziwą dzielność i za pracę rzeczywistą!

Czytajcie aforyzm Sienkiewicza:

„Prawdziwie dzielnym *pracownikiem* jest ten, kto *chce*!.."

Nie przewyższać zatem obcych! *Chcieć* przewyższyć — oto słowo zagadki!..

. . . .

Zmrok. Znowu jestem na Krakowskiem Przedmieściu. Znowu przede mną posąg Mickiewicza.

Znowu ręka z palcami rozczapierzonymi na piersi. Znowu ten sam ruch: jak gdyby Mickiewicz uniewinniał się.

„Rodacy! jestem niewinien, że mnie tak zrobiono!.."

Leo Belmont.

PAMIĘTNIK

Klęska rolna.

Dziś już nie ulega wątpliwości, że rok obecny, przynajmniej w Królestwie Polskiem, pozostawi rolnikom częściową klęskę. Głównie poderwie gospodarstwa brak paszy, za którym pójdzie zmniejszenie ilości inwentarza, nawozu, kultury ziemi itd. Brak zaś ten nie ogranicza się do roku bieżącego, lecz odbije się również w następnym, gdyż młode koniczyny prawie zupełnie przepadły. A ponieważ wpływ wojny oddziaływa ujemnie na rolnictwo, jak na wszystkie dziedziny produkcyi, więc będzie ono musiało uledz ciężkiemu przesileniu, które nieprędko się zakończy.

Niema miejsca.

Doprawdy, wieloletni taniec z widmami rozmaitych przedsięwzięć miejskich w Warszawie — centralnego dworca, elektrycznego oświetlenia, elektrycznych tramwajów itd. — zasługuje na badanie psychologiczne. Co to właściwie jest? Nietylko zadośćuczynienie jakiejś potrzebie zostaje uznanem, ale wynalezione środki, pomimo to ciągnie się przez szereg lat nieskończona zwłoka, powstrzymując urzeczywistnienie dojrzałej myśli i gotowego planu. Już zdaje się, że wreszcie nadeszła chwila działania — nagle zjawia się niespodziewana przeszkoda, która je udaremnia. Historya budowy trzeciego mostu byłaby bezprzykładna, gdyby obok niej nie stanęła z równem prawem do niezwyczajności historya rzeźni centralnej. Jej dzieje są także niewiarogodne a prawdziwe. Nie będziemy przypominali, jak co kilka miesięcy zamierzano ją wznieść gdzieindziej, dość że obecnie „sprawa ta na długi czas uległa odwłoce, gdyż... dla rzeźni centralnej nie znaleziono odpowiedniego miejsca." Uważacie: w całej Warszawie i jej okolicach niema miejsca dla rzeźni centralnej! Jeżeli przy sądzeniu takich faktów nie można lub nie należy złorzeczyć lub kpać, to nie wiadomo, co o nich mówić.

Odpowiedź.

Fejletonista *Wędrowca*, p. Jan Toporski, wystąpił w roli łaskawego korepetytora *Prawdy*. Nie tykałbym jego karmelkowo-koturnowego dydaktyzmu, gdyby nie jeden argument, który zasługuje na podkreślenie.

Pan T. mija się zupełnie z prawdą, zawiadamiając swoich czytelników, że artykuł, który zasłużył na jego uwagę, dotyczy braku odpowiedzialności *prawnej* właścicieli fabryki. Jest w nim jasno i wyraźnie zaznaczone, że idzie mi o inną odpowiedzialność, której autor pomimo że zapewnia, iż wie zawsze, o czem pisze, nie przyznaje.

Twierdzenie, że przedsiebiorcę biorę w obronę przed prawem, uważając, iż on nie może odpowiadać za swych podwładnych, nie jest też prawdą. To są myśli tak zwanej opinii publicznej (mamy to nawet zaznaczone w cytacie p. T.); a wyrazicielami tej opinii są właśnie, wszelkie przeciwieństwa łagodzący i zamazujący, fejletoniści burżuazyjni w rodzaju pana T.

Pan T. twierdzi: „dbałość o życie robotnika... jest przedmiotem szczególnej pieczy sfer zainteresowanych" i nazywa tę dbałość najmocniejszą stroną burżuazyi.

Polemizować z takim argumentem niepodobna, można tylko powtórzyć „zjadliwe" słowa samego pana T.: „Nie wiem, gdzie autor przebywał od początku przeszłego stulecia. *z.*

Spadek zarobku.

Coraz więcej pisze się u nas o walce z obecnym kryzysem przemysłowym. Niektóre fabryki zmniejszyły godziny pracy, inne oddalają robotników i zawieszają robotę. Wszędzie jednak widać pewne staranie o przyzwoity powód. Wielu z fabrykantów obiecuje pomoc filantropijną oddalonym przez siebie robotnikom. Świeży przykład takiej filantropii znajdujemy w postępowaniu p. L., właściciela wielkiej fabryki żelaznej we Włochach pod Warszawą. Ro-

botnicy pracują tam pół dnia tylko, podzieleni na dwie partye. Aby wobec braku odbiorców zmniejszyć wydajność fabryki, właściciel żąda pewnych zmian w robocie; każe np. polerować łopaty, aby błyszczały jak lustro. Wskutek tego robotnik pracujący na akord, zamiast 1 rb. zarabianego przedtem, otrzymuje około 25 kop. Tego rodzaju „filantropia" nie prowadzi do celu. Taka płaca nie wystarcza na najskromniejsze utrzymanie nietylko rodziny, lecz i samego siebie i zmusza pracujących do porzucenia roboty. Potem będzie się pisać o próżniakach, którzy skarżą się na nędzę, a pracować nie chcą. *o.*

Lekarze kolejowi.

Znowu pisma codzienne przypomniały tyle już razy opisywany nienormalny stosunek lekarzy kolejowych do pracowników dróg żelaznych, szukających u nich porady. A przecież lekarze należą do śmietanki naszej inteligencyi. Istnieje nawet często wspominana etyka lekarska, która nie przeszkadza jednak w wielu wypadkach uważać posady lekarza kolejowego, czy fabrycznego za synekurę, nienakładającą żadnych prawie obowiązków, a pacyentów, przychodzących za kartkami — za wyzyskiwaczy, zasługujących na ostre traktowanie. Udzielając porady, wyrządza się im łaskę, boć oni — nie płacą. Znana to rzecz, jeśli wracamy do niej znowu, to dlatego, że dotychczas nic się nie zmieniło w dziwnem traktowaniu przez lekarzy tego płatnego przecież zajęcia. *j.*

Racyonalny kierunek.

Kur. Warsz. podaje wiadomość o studyach, prowadzonych na wsi przez uczniów szkoły sztuk pięknych pod kierunkiem K. Krzyżanowskiego. Takie studya z natury tylko dodatnio wpłynąć mogą na rozwój zdolności. Jakie będą ich rezultaty, przyszłość pokaże. Dla uczących się ważnem jest to zbliżenie z przyrodą, gdyż może ich uchronić od przejęcia szablonowej maniery i ulegania wpływom utalentowanych profesorów. Rzecz to bowiem zwykła, że uczniowie nieraz bezwiednie poddają się indywidualności swych mistrzów, a naśladowanie największych nawet wzorów zabija talent często nazawsze. Przyroda wskaże im wagę szczerości, nauczy pojmowania złożoności wrażeń barwnych, powie, czem jest piękno malarskie, wysubtelni odczuwalność i wrażliwość. *w.*

Pomoc.

Wśród różnych objawów akcyi niesienia pomocy do bardziej udatnych należy podjęta przez wydział W. T. D. próba, przyjmowania zamówień na robotę i ułatwienie nabywania narzędzi pracy. To już nie jałmużna, nie łaska, a pośrednictwo między nabywcą a wytwórcą. O ile ta czynność będzie wolna od wszelkich zapędów dobroczynnych i zostanie popartą przez ludzi świadomych istotnych potrzeb społeczeństwa, to może przynieść niemały pożytek tym, którzy potrzebują nie wsparcia, lecz—pracy. *zb.*

Katastrofa.

Ubiegły tydzień „urozmaicił" odgłos katastrofy w Łodzi. 12 ludzi padło podczas gaszenia ognia z winy braku organizacyi w niesieniu pomocy. Pozostałe rodziny mają podobno być zabezpieczone od nędzy. Tragedya życia ludzkiego nie mniej przeto zawiera okropności. Ślepy traf zabija — i walczyć z nim nie można. A musieli to być ludzie dzielni, skoro szli w pierwszym szeregu. Wśród ciężkiej pracy nie doznali zapewne zbyt wielu pieszczot życia, a jednak śmierć to rzecz straszna. Bo życie to wielka potęga, a śmierć — to zagłada. Wobec tych trumien wstyd powtarzać banalne: cześć ich pamięci. Oni byli tylko ludźmi pracy, więc pamięć o nich zaginie i życie poplynie dalej szarą swę koleją, lecz opuszczając je złożyli oni dowód potęgi jego, siły poświęcenia i dlatego nad grobem ich jeden tylko można wznieść okrzyk: Cześć życiu i tym, którzy są mu wierni! *b.*

BADANIA NAUKOWE.

Kronika historyczna.

III.

Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tomy I—IV, Warszawa—Kraków. 1902—1904.

Historya nowożytna była i jest zawsze najbardziej pociągającym, najwdzięczniejszym, najwłaściwszym, a częstokroć wprost nieodzownym przedmiotem pracy pisarza dziejów. Wbrew pozorom, rozpowszechnionym złudzeniom, dziedzina to u nas właśnie dziwnie mętna, zachwaszczona, niewyrosła. Stosunek bowiem tylko pośredni i pomocniczy do historyi przyznać można tak bardzo licznym paszkwilom politycznym lub pogadankom pamiętnikarskim. Nie mogą one nawet w części zastąpić pełnych wiedzy i pouczających opisów życia społeczeństwa, ani choćby materyałów do tej pracy tylko gromadzonych.

Jeżeli wedle powszechnie przyjętej miary, najzupełniej odpowiadającej naszym dziejom, przyjmiemy za punkt wyjścia historyi nowożytnej koniec XVIII wieku, łatwo się przekonamy, jak mało dokonaliśmy na tem polu. Prócz wielkiej, gruntownej, choć zapewne niewystarczającej jeszcze pracy w dziedzinie stosunków ekonomicznych i społecznych owych czasów, nie zdobyliśmy nic od czasów Kalinki. A przecież dobrze nam już dziś wiadomo, jak niewystarczającymi, częstokroć niewytrzymującymi krytyki są wnioski i wskazania autora „Sejmu Czteroletniego"; jak znaczne są braki w materyale, jaki opracowywał i w sposobach opracowania. Wiemy, że autor zbyt daleko dał się unieść namiętnościom kościelnym i politycznym. Tak dalece, iż słusznym stał się zarzut, przez niego przewidziany i w jego przekonaniu zbity, że pracą swoją stworzył „jeden więcej obraz żółciowy i fantastyczny." Z takim obrazem w oczach, z taką bronią w ręku ferował mocne wyroki, Doszedł do „upokarzających" wyznań o brakach, błędach i wadach. Stwierdził nieodwołalnie, że z takiemi wadami „naród nie mógł się ostać, jako państwo." Poszedł jeszcze o wiele dalej. Wyidealizował rozum stanu, podobny do zabobonu naszego ciemnego chłopa, który wołany do gaszenia pożaru, odpowiada, że niewolno gasić tego ognia, jaki Bóg sam piorunem swym zrządził. Takie same „pioruny" Kalinka stwierdził w dziejach, wynalazł też katów, których „Bóg użył do wymierzenia zasłużonej kary." Cóż wobec tego pozostało, jeśli nie „pokutnicze skupienie," „czekanie, aż przyjdzie pańskie miłosierdzie," aż „Bóg skruszy rózgę, gdy się stanie nie potrzebna"?

Taki był wniosek ostateczny, oparty na dowodach podobnej wartości. Bajką, opowiastką legendarną ku pocieszaniu samych siebie i usypianiu sumień stała się dlań tradycya publiczna. Wykazał, że to, co zwano naprawę, było podobno zepsuciem i ostatecznego zniszczenia powodem i zapowiedzią. To, co napiętnowano zdawna, jako blady cień złaini emocy, stało się światlejszem i lepszem, tak mocne były kolory owej powszechnej demoralizacyi i rozterki.

Na takim gruncie mogła rosnąć i kwitnąć tylko niechęć do rzeczy swoich, niechęć do piersi, rzekomo niezdrowych, których mlekiem się karmiono. Cóż pozostawało więcej, jak kornie rozgrzeszeń oczekiwać, pokutować, i z książką do nabożeństwa w ręku wyglądać zmiłowania pańskiego?

Pod tem wszystkiem tkwiła naturalnie wyraźnie skrystalizowana namiętność polityczna, nieprzełamane przekonanie o obowiązkach i zadaniach, które na władze, czy zgromadzenia „włożył Bóg, nie ludzie."

Niepotrzeba dodawać, że opinia polityczna, zawsze czuła na zagadnienia i tezy dziejopisarstwa, wyzyskały aż nadto tendencye historyka; że nie osłabiły one powszechnej nuty pesymistycznej przekonań i uczuć. Odtąd każdy kruk, strząsnąwszy swe skrzydła, pióra i szpony otarłszy o szary proch dróg, mógł roznosić po świecie rozpaczne krzyki, lub pedantyczne pouczania o rzeczach „minionych bezpowrotnie," zgubionych bez śladu. Te hasła kłamliwe i przewrotne, jak dusze, które je wydały, były ciemne, zwarzone, lub wytarte.

Przeciw takim kierunkom naturalną i potrzebną była reakcya; objawić się ona musiała i w dziedzinie historyi, dotychczas jednakże, jak zaznaczyliśmy na wstępie, nie uczyniła wiele. Tymczasem praca była niezwykle obiecującą i gromadziły się przed nami stosy nowych źródeł W obcych krajach nie poskąpiono nam przykładu. Widzimy mianowicie u sąsiadów, powstające po za wszystkiemi nowemi opracowaniami, całe szeregi wydawnictw źródłowych. Na te ostatnie i na nasze ubóstwo słusznie zwraca uwagę wydawca książek, z powodu których piszemy (I, s. VIII). Wydawnictwo niniejsze ma, choć w części, trzymając się zasady: wedle stawu grobla, wypełnić istniejącą lukę, wiadomość historyczną naprawić i rozwinąć.

Epoki, uwzględnione przez wydane dotychczas monografie, świadczą o pewnym kierunku. Są to: rok 1815, 1807, 1809—1815, wreszcie pierwsza część życiorysu gen. Dąbrowskiego, którego karyera wojenno-polityczna punkt swej ciężkości znalazła w r. 1797—1812. Chwilowo więc pozostawiono na boku epokę, która stanowiła główny przedmiot badań i najsilniejszy punkt oparcia dla historyków politycznych z przed laty trzydziestu. Mówimy chwilowo, gdyż przypuszczamy, że główne powody tego pominięcia leżą w trudnościach wydawniczych, w przypadkowym doborze specyalności współpracowników; wiemy zresztą ile uwagi poświęcił wydawca od samego początku swych własnych prac epoce stanisławowskiej, i jak znaczne odsłonił szczerby na broni Kalinki *).

Jeśli więc tymczasem pominięto stanisławowską epokę upadku, w dalszym ciągu dostarczającą łatwej strawy specyalistom od dyskusyi historycznych, z tem większym zapałem wzięto się w „monografiach" do opracowania czasów napoleońskich. Dla tej epoki większość bibliotek prywatnych mogła być z łatwością wyzyskaną, skrzętne zbiory emigracyjne, dotychczas niepoznane, czekały na badacza, większość archiwów rządowych państw zainteresowanych stała już otworem. Znaczna literatura przyczynków i pamiętników, zupełny brak gruntownych opracowań charakteryzuje bibliografię historyi tego czasu. Jeśli, Kraushar, czy Kozłowski tknęli się tej epoki, to tylko ułamkowo, powierzchownie i po dyletancku. Nawet Korzon nie umiał objąć jej właściwie ani

*) Teza doktorska: „Die letzte polnische Königswahl"; „Przymierze polsko-pruskie"; Dwa stulecia": Odgłosy targowicy i liczne drobniejsze przyczynki w obu tomach „Wczasów historycznych."

z dostateczną znajomością rzeczy. W historyi, a i w tradycyi publicznej epoka to zupełnie dotychczas niewyjaśniona. Myśl publiczna nie jest nawet zdecydowana, co do potrzeby racyi i skutków działania krajowego.

Naogół możemy znaleźć dwa powody tego niezdecydowania. Przedewszystkiem, bez wyjaśnień namacalnych trudno opinii powiązać działalność Sejmu Czteroletniego i wojny r. 1794 z Legionami, twardą służbą republikancką i cesarską, z nową, jak z jednej bryły powstałą budową Księstwa warszawskiego; trudno dlatego, że nić, łącząca te wypadki i kierunki, choć nigdzie nieprzerwana, jednolita i mocna, często kryje się pod ziemią, gdzie w labiryncie spraw zdaje się niknąć w chwili zerwania całokształtu życia publicznego. Dla ogółu na roku 94 coś się urywa, łamie, kończy. Prócz wodza, którego śladów przywiązane oczy szukają na wszystkich drogach jego tułaczki, który jednakże właśnie wówczas jest już skończony, wszystkie postaci roku wojny zdają się ginąć. Owóż nie giną tylko schodzą w podziemia i kują broń przyszłości.

Następnie epoka, której początki w takiej giną pomroce, kończy się burzą, od której i wszystko zda się rozwalać pod piorunami, od których uderzeń przepadają państwa, pod błyskawicami, w których blasku widać niezliczone pobojowiska, masy ludów w niezmiernej walce wzajemnej, gdzie jak nikle, na piasku budowane domy, zdaje się niknąć nadwiślany, napoleoński ustrój państwowy. Widoczny stąd wniosek, jak na dłoni: czy warto było tak się wysilać, aby taki plon zbierać? czy warto było, aby jednostki i rodziny traciły tyle dla postawienia takiej gromadzkiej budowli, która w pierwszym huraganie dziejowym rozpadła się i znikła? Nie widziano znowu, poprzez lata 1812—1815 — tym razem juz najbliższego, bezpośredniego pokrewieństwa i łączności Król. Polskiego z Księstwem warszawskiem. Nie dostrzegano też znowu ważnych nici przyczyn między tymi dwoma tworami państwowymi. A gdy nawet zobaczono to wszystko, straszna łuna r. 31 wszelkie wielkie wspomnienia do szczętu z serc wyżarła.

Tymczasem cała sprawa była w swoich początkach równie jasna, zrozumiała, konieczna, jak w skutkach doniosła i rozległa. Dziwić się zaiste wypada, że śród badaczów mogą tu zachodzić takie różnice zdań, i chyba nieznajomością sprawy je tłomaczyć. Rzecz bowiem była wyraźna: kraj pozbawiony wszelkiej jawności musiał działać skrycie; wojsko pozbawione pola czynu, musiało je sobie znaleźć. W braku drogi bezpośredniej, na której otwarła się przepaść, musiano szukać pośredniej. Pozostawał więc dla czynnych tylko spisek wojskowy za granicami. Tutaj prowadziła droga jedyna — do Francyi. Znalazł ją zaraz Albert Turski, znalazł Barss i Wybicki, znaleźli później Dąbrowski i inni twórcy Legionów, za nimi duch i szeregi armii. Znalazł tę drogę i naczelny wódz, a zapewne nie jego to wina, ani okoliczność, że ta piękna, hartowna, z jednego kruszcu dusza nie mogła się pogodzić z rzeczą nawskroś odmienną, krętą, tajemną, kunktatorską, wyczekującą i na wszelkie nowe ciosy fortuny przygotowaną.

Ale kroki męża onego w tym czasie są ostatecznym dowodem, jaką koniecznością była ta droga. Francya w płomieniu rewolucyi, Francya w wojnie z Prusami i Austryą, posiadaczami ³/₄ ziem Rzeczypospolitej, prawie całości właściwych ziem polskich, później z pierwszem z tych państw związana traktatem, pełnym obietnic zamiennych; Francya rozpościerająca się na północ, na południe, na wschód, ogniem rewolucyjnym obejmująca coraz to nowe ludy, czyliż ta — pytano się słusznie — Francya europejska, gdy jej podamy rękę, nie przyjdzie z konieczności, z potrzeby na północ? Przyszłość dowiodła poprzez chwilowe klęski, niepomierne utrudzenia i poświęcenia, poprzez zwątpienie i niepewności, że rachunek był trafny, nadzieja słuszna, a najśmielsze marzenia realne i spełnione.

Tyle, co do przyczyn. Nie tu zapewne miejsce na przegląd choćby pobieżny ogromu skutków, konsekwencyj, sięgających w każdą dziedzinę życia publicznego, otwierających szerokie pole prawdziwemu odrodzeniu całego kraju.

Epoka ta, mocna i jędrna, wymaga opracowania w pełni sił, rozwagi i otuchy, żywej nadziei, przejęcia się prawdziwą wielkością, szalonym rozpędem opisywanych rzeczy.

Z takiem opracowaniem i z taką czynnością dziejopisarską łączy się pewien optymizm naturalny, wytwarza się kierunek myśli i uczuć, wręcz przeciwny kierunkowi Kalinki. Zapewne, liczne przeciw takiemu obrotowi rzeczy słyszymy już protesty — i poucza nas o tem pewien głos, wyszły z naszej publicystyki — że „zaczyna się zwrot ku widzeniu przeszłości w różowych kolorach." Co do owej „różowości," podejrzewamy złudzenie optyczne; faktem jest jednak, iż zaczyna panować inny ton i odmienny sposób przedstawiania rzeczy dziejowych. Może się to niepodobać zapewne. Jednakże faktem jest po wsze czasy, że historya nie jest zimną, obojętną, spokojną, wysoko ponad ludzkością w obłokach abstrakcyi wybujałą mistrzynią życia; że przeciwnie, jest rzeczą głęboko, najbardziej ludzką, z krwi ludzkiej poczętą i w krew się przeradzającą. Dowiodła nam tego każda historya. Niemniej dowodzą tego prace Kalinki. Sączyły one powoli i systematycznie jad słabości i zniechęcenia w naszą krew. Czas na otrzeźwienie z takich narkotyków niebezpiecznych. Czas na rzeczy silniejsze i zdrowsze. Bowiem pierwszem przykazaniem żywych — i żyjącej historyi także — jest zawsze „z żywymi naprzód iść."

Poświęciliśmy tyle ogólnej uwagi niniejszemu wydawnictwu, nim szczegółowo będziemy mogli zająć się pojedynczymi tomami, dlatego, że około tych wszystkich, najszerszych kwestyj bezpośrednio obraca się całe wydawnictwo. Od czasów Kalinki zresztą po raz pierwszy źródła dziejowe w takiej ilości stają się nam dostępne. Widzimy przytem znaczne postępy metodyczne i wydawnicze: całość rozpada się na dwa działy: zbiór dokumentów i krótkie, zwięzłe opracowanie monograficzne. Dla historyków opracowania te są ułatwieniem studyum metodycznego; zarazem jednak te ostatnie przeznaczone są dla szerszego ogółu. Zawierają przeto bardzo szeroką ambicyę, rozległe zadania. Tym sposobem monografie te muszą się poddać tem wyższym wymaganiom, co zaznacza wydawca, ręcząc „za ich absolutną przedmiotowość i ścisłość naukową" (I, str. IX). Zgromadzenie, zgrupowanie i zredagowanie źródeł uwzględnia konieczną w naszych warunkach oszczędność i przedstawia się wzorowo nawet w porównaniu do obcych wydawnictw tego rodzaju. Ta „edycya dokumentów," jak stwierdza wydawca (I, str. X), dokonywa się pod bezpośrednim jego kierownictwem. To kierownictwo najwidoczniejsze z przedmów do każdego tomu daje się uczuwać zresztą dość silnie w samym tekście „Monografij." Dalecy od czynienia z tego powodu zarzutu wydawcy, zauważymy jednakże, że zbyt silnie prowadzone kierownictwo może zrazić do wydawnictwa niektóre mocniejsze i oryginalniejsze indywidualności; a w wydawnictwie takiem powinny wziąć udział wszystkie młode nasze siły historyczne. Naturalnie, nie zaprzeczamy ogólnej potrzeby samego kierownictwa, które dopiero może nadać jednolity charakter całej pracy.

W owym charakterze wydawnictwa dostrzegamy jeden brak poważny naszem zdaniem: pominięcie, pozostawienie na boku właściwych, wewnętrznych dziejów kraju: historyi stosunków ekonomicznych, stosunku i uwarunkowania warstw społecznych, programów i idej politycznych. Wiemy również, jak i wydawca, że są pewne rzeczy pilne, konieczne; że trzeba objąć całość spraw, stosunki najobszerniejsze, ogólną racyę publiczną. Rozumiemy również, że wydawca, oddający się zawikłanym i absorbującym badaniom dziejów polityczno-dyplomatycznych, w tym samym kierunku pociąga innych. Jednak utrzymanie takiej jednostronności wywołałoby z konieczności potrzebę oddzielnego przedsiewzięcia, w odmiennym zwróconego kierunku. A jest to rzecz jasna, że w takiej sprawie współpracownictwa i współwydania podział sił i środków utrudnia wykonanie.

Szczególna wdzięczność należy się nakładcom „Monografii," przedewszystkiem Kasie im. Mianowskiego, która umożliwiła materyalnie rozpoczęcie wydawnictwa, a z drugiej strony pozwoliła piękne i porządnie wydane książki powszechnego użytku nabywać po cenie wprost nigdzie niepraktykowanej, czem w pełni odpowiedziała publicznym swym zadaniom.

Michał Sokolnicki.



LITERATURA I SZTUKA.

EDWARD ROD.

(ur. 1857 r.).

Różnie się przejawia właściwe współczesnemu pokoleniu szukanie ostoi, oparcia wśród szybko rosnących komplikacyj życia psychicznego i rezultatu ich w świecie zewnętrznym — postępków, dążeń itd. Przed laty powstał we Francyi dość silny prąd pod nazwą neochrystyanizmu; było to w dobie rozkwitu popularnie zwanej epoki pozytywnej Taine'a i Renana w krytyce, a naturalizmu w literaturze. Kierunek ten oparł się na założeniu, że wartości współczesne, będące wypływem stanu umysłowego, etycznego itd., nie odpowiadają potrzebom człowieka, że mu ciasno wśród drobnych formułek i zwyczajów, pozbawionych treści, że praca wewnętrzna ducha ludzkiego przerosła ustrój społeczny i że należy szukać nowych bogów. Lecz ci, którzy rzucili się w kierunku haseł odrodzenia chrześciańskiego, nie widzieli nic, coby mogło świadczyć o rodzącej się przyszłości; przyczyny tego szukać trzeba w silnem wrośnięciu w ideały przeszłości. Wierząc w odrodzenie, poczęli oni dążyć do pogłębienia dawnej etyki, na tę stronę chrystyanizmu zwracając głównie uwagę. Zastosowano nowe sposoby rozumowania do dawnej treści.

Jak każdy inny i kierunek neo-chrześciański miał szczerych i głębokich szermierzy, mniej szczerych, lecz za to bardziej błyskotliwych zwolenników.

Do szczerych jego stronników, pragnących zastosowania zasad chrystyanizmu do wszelkich głębin współczesnej kultury, należy E. Rod.

Etyka w indywidualności jego odgrywa przeważającą rolę. Jest to surowy sługa obowiązku, którego idea zawisła nad ludzkością jako nieubłagana, silna, groźna i karząca ręka, jako mus-fatum, przed którym jeżeli się kto nie ugnie, to ono go złamie, przytłoczy do ziemi.

Pod względem ogólnego charakteru swej umysłowości Rod jest człowiekiem starym: pomimo dość znacznej inteligencyi i kultury umysłowej nie utworzył on sobie własnego, od wpływów zewnętrznych wyodrębnionego patrzenia na zjawiska, drażniące jego wrażliwość, nie zbudował systemu, łączącego i jednoczącego w jedną całość wszystko, co on przeżywa: wszystkie wierzenia, całe ujmowanie świata przejął on z rąk dogmatu, powstałego w innej, odległej dobie rozwoju ludzkości.

Fakt ten jest wspólny większości ludzi. Roda wyróżnia tylko powaga myśli, głębia surowa wiary i nieprzeciętna szczerość, stawiająca go ponad codziennym szeregiem pospolitych jednostek.

Nie zamyka on oczu na różne komplikacye i złożoności życia. Znając dość dobrze psychikę człowieka współczesnego, świadom jest siły oraz głębi uczucia, rozumie znaczenie wewnętrznego drżenia, niepokoju, chwiania się; tłomaczy on je podług zasad katechizmu, stawiając na każdym kroku obok pojęcia obowiązku i pojęcie grzechu. Lecz choć ciągle napotyka niemożebne do rozstrzygnięcia zagadnienia psychiki ludzkiej, nie zaprzestaje sądzić i sprowadzać wszelkich jej objawów do pewnych kategoryj, przez tradycyę utrwalonych.

Przeciwstawienie pojęć obowiązku i grzechu jest podstawą całej treści duchowej Roda. Poważne miejsce w jego schemacie etycznym zajmuje dalsza konsekwencya obowiązku — poświęcenie.

Podług niego poświęcenie wymaga niezwykłej siły, aby przemódz różne uczucia w celu największego skupienia się dla spełnienia obowiązku, które ma być zaparciem się siebie, posuniętem do samookaleczenia. „Poświęcenie jest największą cnotą, jedyną, która może dać wewnętrzne zadowolenie, więcej szczęścia, niż wszelka inna skłonność duszy.“ („Mademoiselle Annette“).

Życie jest pełnieniem cnót lub przestępstw przeciwko tym cnotom — grzechów. Nie mówi tego Rod wyraźnie, lecz to wypływa z jego metody myślenia. Nie wysuwa on naprzód świadomości: uznaje przewagę nieświadomych zdarzeń; tylko z opisów różnych stanów duszy wyprowadza często wnioski w myśl swego surowego chrystyanizmu.

Istotę stanu etycznego współczesnej epoki widzi Rod w czci i uwielbieniu indywidualnem—„Moi.“ Niema w nim jednak tej nienawiści, jaka cechuje np. Ferd. Brunétiere'a. W „Les Idées morales du Temps present“ wykazuje on nawet przesadę i bezpodstawność sądów tego wielbiciela wieku XVII, przyznaje wielką wagę jednostce i najwyższe poświęcenie widzi w ofierze swego Ja. Współczesnym zaś czyni on zarzut, że „zamiast poświęcenia tego Ja, na którem opiera się wszelkie wyższe pojęcie dobra, oni dążą do jego tryumfu.“

Rod pojmuje trudność tego zagadnienia i niemożebność kwalifikowania, lecz pomimo to przy obejmowaniu wzrokiem życia nie umie się obejść bez kategoryj. Każdy fakt psychiczny, który obserwuje, budzi w nim strunę etyczną, nastrojoną na ton dobra i zła.

Do najudatniejszych powieści Roda należy utwór złożony z dwu części pod tytułem „La vie privée de Michel Teissier“ i „La seconde vie de Michel Teissier,“ uznany przez krytykę za klasyczny. Postać główna, przedstawiona podług starej metody opisowej, ma w sobie plastykę wewnętrzną i charakterystykę trafną. Otóż prawie niespodzianką jest tu zakończenie, w którem autor objaśnia skomplikowane dzieje walki jego uczuć, ten rozrost nowej namiętności, jako nieuchronnej siły przeznaczenia — ze całą tą męką duszy, to egoizm i nic więcej. Jaskrawem jest tu to omamienie chrześciańskie. Autor nieco poczuwa się do niego, gdy pisze w przedmowie do pierwszej powieści, że niektórzy przyjaciele zarzucali mu; iż napisał tylko dzieje „występnej miłości,“ a on miał zamiar opisać „walkę miłości dobra przeciw złemu — a zło prawie zawsze pozostaje zwycięzcą, ponieważ ono ukrywa znakomicie swój istotny charakter pod czarującymi pozorami...“

Całość umysłowości Roda zadziwia swą dwulicowością — z jednej strony powaga myślenia, niezamykającego się nieufnie względem nowego ujęcia natury ludzkiej, z drugiej — mieszczański sposób patrzenia na świat.

Nakaz etyki Kanta w formie chrystyanizmu, to klucz do zrozumienia psychiki Roda i jego całej twórczości artystycznej. Kategoryczny imperatyw, to najwyższa w oczach jego siła ducha ludzkiego, a po za obrębem tego leży tylko słabość i chwiejność uczucia.

Na tej podstawie wzniósł E. Rod cały gmach swej myśli, budowlę nie pozbawioną polotu, powagi i szczerości indywidualnej. Stanął on mocną nogą na gruncie już skrystalizowanych wartości, które nie obejmują jednak wszelkich dziedzin życia współczesnego. Pogłębia on je, objaśnia, zciąga nitki, aby powiązać w całość i często wytwarza rozłam między chwilą zapomnienia o etyce a powrotem do chłodnego rozważania.

Zatrzymał się Rod na przełomie i nietylko nie przeszedł granicy, po za którą leży rodząca się przyszłość, lecz nigdy, nawet chwilowo, nie poczuł tęsknoty za nowem słońcem. Pomimo całej swej wstrzemięźliwości nie może on nawet ukryć niechęci dla tych, którzy usiłują budować przyszłość, to mu nie pozwala zrozumieć ich. Jaskrawym tego dowodem jest jego ostatnia powieść „Vainqueur.“

Charakterystycznym jest też wstęp w „Le sens de la vie“ — utworze, którego Rod użył dla wypowiedzenia swego poglądu na świat. Obejmując myślą upodobania społeczne, zatrzymuje się on na kierunkach dążących ku przyszłości, przeocza treść tych prądów i widzi w nich wyłącznie staranie o formalne zmiany przepisów, paragrafów, zapominając, że kodeks, czy konstytucya to tylko strona formalna wypowiadająca pewną treść ideową. Pisze on: „reforma społeczna jest mirażem; po za prawami kodeksu i konstytucyami należy szukać nowego królestwa, w którem znajdziecie szczęście, jedynym środkiem ku ziszczeniu jego jest miłość... Tylko miłość może odnieść tryumf nad egoizmem i nienawiścią, — będzie to zarazem tryumf sprawiedliwości i równości...“ W ten sposób wykrzywia Rod całą treść ruchu dążącego w przyszłość, zdaje się chcieć powtórzyć zarzut budowania na nienawiści czyniony przez sklepikarsko-inteligentnych krytyków. Ustawy to tylko normy zewnętrzne, po za któremi kryje się głębia, blizka temu, co Rod wystawia, jako swój ideał. Jest to prąd mający właśnie na celu emancypacyę miłości, zwolnienie jej od służby ciasnym, osobistym interesom pewnych grup. Miłość wtedy przestanie służyć za płachtę, przykrywającą wszelkie brudy a stanie się uczuciem silnem, potężnem, opartem na swobodzie wszechstronnego rozwoju i poczuciu własnej siły!

Tego Rod nie dojrzał: to już leży po za jego horyzontem etycznym.

A jednak horyzont ten bynajmniej nie jest ciasny.

Pominąwszy treść jego nauki (gdyż swą działalność literacką uważa Rod poczęści za naukę) należy podkreślić nieprzeciętność i wzbudzającą szacunek powagę myślenia. Wyróżnia się tem Rod od innych Francuzów, kokietujących katolicyzmem, jak Bourget—snob we wszystkich swych pseudo-uniesieniach religijnych. Widzi to w nim Rod i podkreśla w „Idées morales du temps présent.“

Charakterystyczny rys działalności literackiej Roda trafnie pochwycił Lanson w słowach: „w inteligentnych utworach Rod'a przebija się raczej krytyk przenikliwy, niż artysta-twórca.“

Uwagę swą poświęca Rod przeważnie wewnętrznej psychice współczesnego mu pokolenia. Umie dostrzec pewien rys zasadniczy, kryjący się pod powłoką różnych stanów duszy, postępków itd. „Znaczną większość ludzi odczuwa więcej potrzebę spokoju umysłu, niż potrzebę prawdy... Ujmują oni zagadnienia myśli tylko z jednej strony, którą przypadek przedstawił ich widzeniu.“ Spostrzeżenie trafne, lecz dość dziwne w ustach Rod'a który tak niechętnie traktuje wszystko, co leży po za polem jego widzenia.

Rod w opisywaniu wewnętrznych stanów swoich bohaterów, nie sięga tam, kędy ustaje panowanie kategoryj etycznych. Delikatnie i ostrożnie roztacza on tło moralne. Wie, że życie, to nie doświadczenia, robione w celu rozstrzygnięcia, jakiegoś zagadnienia, a pewna siła, istniejąca po za umysłem ludzkim. „Życie ludzkie nie zatrzymuje się na znak dany przez siły wrogie, które pragną je zniszczyć: po wszelkich kryzysach powraca ono do swoich praw i bieży dalej.“

Konsekwencye tego poglądu odpowiadają ściśle chrześcianizmowi Rod'a. To, co dogmat uważa za dobre,—to wypływa z życia; co zaś za złe, to są siły życiu wrogie. Określenie niepłytkie, gdyby pojęcia te wypływały z patrzenia w życie i zrozumienia jego głębin, a nie z tradycyi niepojmującej jego pulsu.

Sposób pisania Rod'a jest opisowy. Podaje on fakty, zderzenia się dwu uczuć, obserwuje rozwój i wyniki procesu tarcia się i podsumowywa rezultaty. Czyni to ostrożnie, unikając jaskrawości i zacietrzewienia, lecz stale według dawnej metody pisarskiej.

Czasem wobec trudnych zawikłań duszy ludzkiej pisze on pokornie: „wydajemy sądy, potępiamy, gardzimy, nienawidzimy, nie wiedząc, nie rozumiejąc, dumni z kodeksów swoich.“

Ujmując treść swych obserwacyj w sądy, rezonuje Rod w powieściach wiele. Opisywanie życia nawet przy zastosowaniu całego aparatu kategoryj, nie może mu wystarczyć. Używa powieści dla wypowiedzenia się w tej lub innej kwestyi.

Wszystkie jego utwory są pozbawione cech prawdziwej twórczości: intuicyi, siły napięcia, poezyi uczucia. Jest to chłodna mowa inteligentnego człowieka, mającego to i owo do powiedzenia w kwestyach, zajmujących umysły.

Dlatego choć dziś czytamy go z zaciekawieniem, z czasem zostanie zapomniany.

Zbigniew Brodzki.

Kolonia artystyczna w Darmsztadzie.

Przed czterema laty wielki książę hesseński, Ernest-Ludwik, pobudzony szlachetną chęcią utworzenia środowiska artystycznego w stolicy swego państewka, zaprosił do Darmsztadu szereg artystów, którym przez bezinteresownie ofiarowane mieszkania i pracownie, odpowiednio urządzone oraz inne ulgi materyalne, chciał dać możliwie dogodne warunki dla zupełnie swobodnej, niczem nieskrępowanej pracy twórczej. Nie żądał wzamian żadnej zapłaty, żadnego bezpośredniego wynagrodzenia, zadawalając się oczekiwanym rozwojem życia artystycznego i ożywczym jego wpływem na kulturę całego kraju. Powołana w ten sposób do życia, darmsztadzka Kolonia artystyczna pracowała przeważnie w kierunku sztuki

ki stosowanej do budowli mieszkalnych i ich wewnętrznego urządzenia. Przewodyrem był i dotychczas pozostał J. M. Olbrich, jeden z najzdolniejszych i najbardziej nowatorskich, współczesnych budowniczych niemieckich.

Pierwsza wystawa kolonii, urządzona w r. 1901, choć nie pod wszystkimi względami się udała, wzbudziła ogólne zainteresowanie śmiałością pomysłów architektonicznych i jednolitością dążeń dekoracyjnych, obejmujących całość naszego bytu zewnętrznego, i wywarła wpływ bardzo korzystny na cały kraj. W lipcu roku bieżącego otwartą została druga wystawa kolonii, składającej się w danej chwili ze wspomnianego już prof. Olbrich'a, rzeźbiarza prof. Habich'a oraz trzech młodszych artystów: J. V. Cissary'a, Pawła Hausteina i dr. D. Greiner'a, o różnostronnej bardzo twórczości.

Oddzielne, pomniejsze wystawy utworów sztuki każdego artysty świadczą o wielorakich ich talentach, lecz nie w nich leży punkt ciężkości całego przedsiewzięcia. Zewnętrznie już odróżnia się ono od zwykłego typu wystaw współczesnych, okazy bowiem nie są umieszczone w przygodnych, na czas tylko zbudowanych halach, lecz w murowanych domkach bardziej stałego charakteru, z któremi one w harmonijną łączą się całość. Według planów prof. Olbrich'a zbudowano na ten cel trzy domy mieszkalne, rodzaj willi, mogących mniej więcej odpowiadać potrzebom średnio-dostatniej rodziny, i obliczonych na sprzedaż. Oczywiście pod względem architektonicznym noszą one piętno wysoce artystycznej celowości i odbiegają od szablonu tak zwanego „Villenstyl'u," a pod względem technicznym stoją na wysokości wymagań współczesnych.

Wspólnemi siłami artystów kolonii wille te zaopatrzono w całkowite urządzenia, poczynając od kuchni i piwnicy, a kończąc salonem. Umeblowanie i udekorowanie każdego pokoju wykonano według szkiców jednego artysty, a wszyscy razem dbali o styl wspólny w głównych zarysach. Mamy więc tu meble, drobniejsze sprzęty domowe, lampy, firanki, kobierce, szkło, porcelanę, nawet bieliznę stołową i naczynia kuchenne — jednem słowem wszystko, co w zamożnem mieszkaniu i gospodarstwie miejskiem znaleźć się powinno i musi. Do wszystkich prawie przedmiotów artysci kolonii dostarczyli pomysłów, szkiców i projektów, a przemysł i rękodzielnictwo miejscowe, po części i całych Niemiec brały udział w wykonaniu. Naturalnie nie pozostaną one unikatami, lecz i nadal w znacznej ilości egzemplarzów będą wyrabiane. Katalog wystawy sam przez się istne arcydzieło sztuki drukarskiej i dekoracyjnego talentu Cissary'a, zawiera pod tym względem ciekawe i pouczające bardzo materyały.

Zdaje nam się, że wogóle mamy tu przed sobą, jedno z ogniw wytwarzającego się nowego typu wystaw artystycznych, o którym niedawno na tem miejscu mieliśmy sposobność pomówić. Dawną przypadkowość i różnolitość przysłanych okazów coraz częściej zastępuje z góry ułożony i wyraźnie określony zakres wystawy. W danym razie, grono artystów, złożone z różnorodnych indywidualności, złączyło się pod hasłem jednakich ideałów oraz dążeń estetycznych i stworzyli piękne, doskonałe dzieło, wydatkując moc talentu, pomysłowości, pracy i wytrwałości. Dzięki wspaniałomyślności protektora mieli oni rzadką możność urzeczywistnienia w całej pełni tych dążeń, zamiast propagowania ich za pomocą słowa i czasopism ilustrowanych, na co niestety większość artystów wogóle jest skazaną.

A dobrze to świadczy o teraźniejszym stanie i o przyszłości przemysłu artystycznego Niemiec, że te pomysły, choć tak wybitnie nowoczesne i odmienne od rzeczy uświęconych tradycyą i... popytem, znalazły chętnych wykonawców i nabywców. Najbardziej gorące usiłowania w zakresie sztuki stosowanej i dekoracyjnej pozostaną bowiem bezpłodne, jeśli na pomoc im nie zjawi się wysoko rozwinięty, do postępu dążący przemysł krajowy.

Paweł Ettinger.

Z PRASY.

— Ks. Meszczerskij umieścił w *Grażdaninie* artykuł następujący:

„Wbrew ludowi naszemu, dobremu i tolerancyjnemu dla cudzoziemców, pośród naszego społeczeństwa ukształconego utworzyła się osobna sekta patryotów, szczerze przekonana, że im gorzej jest członkom innych narodowości i wyznań w Rosyi, tem dla niej lepiej, tem więcej zyskuje ona na sile narodowej i powadze. Czy ci patryoci przynieśli pożytek Rosyi — nie wiem, nie posiadając faktów, dowodzących jakiegokolwiek pożytku; że natomiast wyrządzili i wyrządzają szkodę Rosyi, o tem, niestety, świadczą fakty.

Faktów takich posiadamy niemało. Przedewszystkiem ci patryoci, skutkiem nieuniknionej reakcyi, wytworzyli spory zastęp Rosyan, obojętnych na sprawy cudzej wiary i cudzej narodowości, którzy, protestując przeciwko ultra-patryotyzmowi, dużo zaszkodzili Rosyi pod tym względem w chwilach historycznych, kiedy interesy narodu rosyjskiego i państwowości rosyjskiej wymagały rzeczywiście stanowczego i rozumnego przeciwdziałania żywiołom separatystycznym.

Gdyby tych patryotów nie było, zastęp Rosyan, w miarę i rozsądnie broniących interesów i zadań państwowości rosyjskiej, byłby bez porównania większy, a tem samem oddziaływałby bardzo na prawidłowe rozstrzyganie zagadnień narodowych i wyznaniowych.

Drugiem następstwem ultra-patryotycznego traktowania spraw wiary i narodowości jest sztuczne wytworzenie śród innowierców zbiorowego, korporacyjnego stanu obronnego, związków pomiędzy nimi, do których się uciekają, ażeby przecisnąć się do życia rosyjskiego i brać udział w różnych rodzajach jego działalności.

Obawiając się prześladowania, innowierca lub obcoplemieniec nigdy nigdzie sam nie występuje, lecz zawsze w sojuszu ze swoimi, a gdzie znajduje się na razie sam jeden, tam, możecie być pewni, za rok powstanie cały związek innowierców lub obcoplemieńców, stanowiących stowarzyszenie, do którego już żadnego działacza rosyjskiego nie dopuszczą. Tymczasem gdyby nie było unoszącego się wszędy ducha ultra-rosyjskiego, nie byłoby walki z nim, nie byłoby związków, innowiercy i obcoplemieńcy braliby każdy z osobna udział w życiu rosyjskiem i nigdzie ogół rosyjski nie przestawałby być naczelnym.

Żyłem dosyć długo, ażeby nabyć przekonania, że skoro tylko zaczną rozlegać się głosy: „Tacy a tacy innowiercy lub obcoplemieńcy buntują się!" — wnet ci innowiercy lub obcoplemieńcy tworzą zwarte związki antirosyjskie, z uszczerbkiem państwowości rosyjskiej.

Mówię to wszystko dlatego, że widzę dla dobra Rosyi konieczność prowadzenia całkiem innej polityki względem obcoplemieńców i innowierców. Wychodzę z założenia, że Rosya jest tak potężnem państwem, iż nie ma potrzeby obawiać się swobody innych narodowości, ale z drugiej strony powinna unikać szkód, wyrządzanych jej rozwojowi przez spiskowanie narodowości.

Oto dlaczego mniemam, że polityka względem innowierców i obcoplemieńców powinna się opierać na dwóch zasadach: na ich swobodzie i równości z rodowitymi Rosyanami, a powtóre na bezwzględnej, przez wszystkich przestrzeganej niemożności wytwarzania związków, zmierzających ku obchodzeniu praw a tembardziej ku szkodzeniu interesom państwowości rosyjskiej. Równouprawnieni z Rosyanami, innowiercy i obcoplemieńcy nie mają powodu i możności wytwarzania korporacyj, upośledzeni zaś prawnie, szukają siły w łączności i dochodzą do walki z narodem rosyjskim. Przeciwko bowiem ostrym środkom wzmocnienia państwowości rosyjskiej występują obojętni przeciwko ulgom, innowiercom przyznawanym, krzyczą ultrapatryoci—a każde zarządzenie w ich duchu wyradza zwartą obronę obcoplemieńców lub innowierców."

— Redaktor *Now. Wrem*, A. Suworin, omawiał niedawno w swojem piśmie kwestyę zogniskowania wszystkich wydziałów państwa w jednym gabinecie ministrów. O tej samej sprawie *Kijewlanin* wypowiada następujące uwagi:

„Panu Suworinowi, który poruszył w prasie kwestyę gabinetu ministrów, odpowiedział ktoś, że gabinet ministrów może stać się czemś w rodzaju „wezyratu." Odpowiedź ta jest niezmiernie trafną, gdyż bez odpowiednich urządzeń gabinet ministrów istotnie najbardziej podobny będzie do wezyratu, ze wszelkiemi zasadniczemi jego wadami. Czy to będzie osobista polityka pierwszego ministra, czy też zbiorowa polityka gabinetu ministrów—różnica nie będzie istotną, o ile gabinet nie zostanie poddany czynnej kontroli politycznej.

Można naturalnie powiedzieć, że ponad gabinetem ministrów znajdować się będzie kontrola władzy najwyższej, ale przecież poddany jej jest i każdy z osobna minister. Oprócz tej kontroli potrzebna jest w nadzwyczaj złożonej sprawie zarządu państwowego kontrola ze strony zbiorowych ciał władzy prawodawczej, w których mogą znaleźć swój wyraz najrozmaitsze punkty widzenia i wszelkie interesy i potrzeby.

Silny, choćby jednostronny gabinet ministeryalny może ujawnić swoje dobre strony i nie wpaść w błędy zasadnicze tylko przy silnem i przezornem, zbiorowem ciele prawodawczem, któreby wciąż nadzorowało jego działalność, żądało sprawozdań, miało wreszcie możność powstrzymać te lub inne zarządzenia i nadać im inny kierunek. Kontrola zbiorowych ciał prawodawczych tworzyłaby jednocześnie żywy związek zarządów ministeryalnych z tymi organami, które, w przeciwstawieniu do gabinetu, powinny być różnolite, pod względem składu osobistego; jednocześnie zaś dawałoby gabinetowi autorytet moralno-polityczny, mający znaczenie tak doniosłe.

W odpowiedzi na uwagę, że gabinet ministrów bez odpowiednich urządzeń może stać się podobnym do wezyratu, p. Suworin zaznaczył, że „Rosya w żadnym razie nie jest Turcyą i losy jej nie mogą być te, co losy Turcyi." Jest to niezawodnie najzupełniej słuszne, z drugiej jednak strony Rosya nie jest również i Anglią. Czy znane są Rosyi te przykazania polityczne, które będąc podstawą społecznego, a po części również i prywatnego życia, są tak samo przyjęte ogólnie i niewzruszone w pojęciu powszechnem, w zwyczajach społeczeństwa i w zasadach władzy państwowej, jak przykazania Mojżesza? Sądzimy, że Rosya nie zna jeszcze, a raczej, mówiąc ściślej, nie przyswoiła sobie, nie wessała, nie strawiła, skutkiem historyi swojej, skutkiem życia społecznego, stopnia wykształcenia i charakteru narodowego. Częściowo możemy pocieszać się tem, że te zasadnicze przykazania polityczne przyjęły się szczególnie wśród niektórych narodów zachodnio-europejskich, ale pociecha to niewielka, ponieważ z tego powodu ani monarchia konstytucyjna, ani rzeczpospolita nie dają tam gwarancyi porządku i swobody, i powstają tam skrajne prądy partyjne, naruszenie praw obywateli, upadek powagi i bezwład władzy państwowej."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Grono Żydów warszawskich postanowiło wskrzesić kuchnie ruchome i wydawać z nich jadło bezpłatnie.

— Komisya kolonizacyjna kupiła w Poznańskiem dobra rycerskie Łopienno, 3,000 morgów, za 720,000 marek, skarb państwa — dobra Ciszewo z Mikuszewem i folwarkiem, w pow. Wrzesińskim, 13,501 morgów za 3 mil. m.

— Liczba samobójstw w Niemczech wzrasta z każdym rokiem, podczas gdy w 1900 wynosiła około 20 na 100 tys. mieszkańców, w 1902 odsetek doszedł do 21,4; najwięcej samobójstw przypada na okręgi przemysłowe, najmniej na rolnicze.

— Z Inowrocławia wydalono p. Hieronima Galskiego, poddanego rosyjskiego, który mieszkał tam 31 lat i utrzymywał skład artykułów aptecznych.

— W Dortmundzie, w Westfalii, odbył się wiec polski w sprawie wychowania młodzieży, na którym postanowiono pewną liczbę dzieci, zagrożonych zniemczeniem, wysłać w strony ojczyste, przeznaczając na każde po 30 marek.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty zatwierdziło ułożony przez wydział lekarski uniwersytetu warszawskiego projekt zmian w egzaminach teoretycznych na stopień lekarza dla studentów V kursu. Polegają one na tem, żeby zamiast dotychczasowego stopnia ogólnego, wystawiane były stopnie oddzielne, odpowiednio do katedr wykładowych, z podziałem przedmiotów tych na grupy następujące: Grupa I: a) akuszerya teoretyczna i choroby kobiece i dziecięce, b) oftalmologia; II—a) patologia i terapia szczegółowa, b) choroby nerwowe i umysłowe, c) terapia ogólna; III — a) chirurgia teoretyczna, b) dermatologia i syfilidologia; IV—a) hygiena medyczna i policyjna, b) medycyna sądowa i toksykologia, c) farmakologia, receptura i balneologia; V grupa: a) fizyologia, b) chemia lekarska, c) patologia ogólna i bakteryologia. Co do projektowanego przez wydział lekarski przyłączenia egzaminów teoretycznych z histologii i embryologii, jako przedmiotów anatomicznych, do powakacyjnych egzaminów praktycznych — władza ministeryalna zgodziła się na tę zmianę pod warunkiem, ażeby z egzaminów z anatomii i histologii z embryologią dawane były stopnie oddzielne.

— Na kursy kolejowe w Petersburgu prócz kandydatów z przepisanym stopniem wykształcenia będą przyjmowani także wolni słuchacze. Wykłady rozpoczną się d. 15 października. Szczegółów udziela Tow. techniczne w Petersburgu, Bassejnaja 7.

— W roku ubiegłym do uniwersytetu w Berlinie uczęszczało w semestrze letnim 308 słuchaczek, w zimowym — 597.

— Zarząd głównej inspekcyi lekarskiej uznał za możliwe skrócić z trzech lat na dwa obowiązkową praktykę uczniów aptekarskich, o ile ukończyli oni szkoły realne. Wyjaśniono też, że kończący cztery klasy szkół handlowych mogą zostać uczniami aptekarskimi po złożeniu egzaminu z języka łacińskiego.

— W roku bież. w Zakopanem otworzona będzie pierwsza klasa gimnazyum prywatnego. Kandydaci winni mieć lat 9 i wnieść 5 koron wpisowego. Opłata za naukę 20 kor. miesięcznie, za umieszczenie na stancyi 30 koron mies. Ubodzy i słabowici przyjmowani będą z ulgami lub darmo. Objaśnień udziela biuro Towarzystwa, hotel Turystów, ul Zamojskiego nr. 4.

— Kurator okręgu naukowego warszawskiego otrzymał 25,000 rb., które rozdane będą w roku bieżącym, jako dodatek do pensyi tym nauczycielom szkół miejskich i gminnych, którzy w jednem miejscu przesłużyli najmniej lat 10.

— Wydział fizyczno-matematyczny uniwersytetu warszawskiego zawiadamia, że studenci pierwszych trzech kursów tego wydziału, pragnący w bieżącym roku akademickim otrzymać stypendya im. Kopernika, winni, prócz dostatecznego stopnia na egzaminach przejściowych, przedstawić referaty na ustanowiony przez wydział temat. Prośby podawać należy do 13 września r. b. Studenci, pragnący ubiegać się o stypendyum im. Olimpii Jankowskiej, a posiadający prawem określony stopień na egzaminach przejściowych, winni wnosić podania włącznie do d. 16 grudnia now. st. r. b. Stypendyum to, według brzmienia testamentu, przeznaczone jest dla trzech studentów uniwersytetu warszawskiego, pochodzenia polskiego, wyznania rzymsko-katolickiego, po 200 rb każde. Ostateczny wybór kandydatów pozostawiony jest właścicielowi majątku Tomaszów, w pow. Miechowskim.

Czytelnia akademicka w Karlsruhe zawiadamia osoby, życzące sobie zasięgnąć informacyj, co do studyów w politechnice tamtejszej, że mogą zwracać się po wiadomości pod adresem: Polnischer Lese-Verein, 16 Kaiserstrasse, Karlsruhe, Baden. Wykłady rozpoczną się d. 15 października.

Sprawy ekonomiczne. W r. 1903 w Zagłębiu Dąbrowskiem były czynne 32 kopalnie węgla z 289 maszynami parowemi o sile 28,827 koni. Wydobyto 47,478,120 centnarów węgla — o 5,155,254 cent. więcej, niż w roku poprzednim. Liczba robotników powiększyła się o 889. Koszt całorocznej eksploatacyi wyniósł 6,387,019 rb.; średnia płaca robotnika — 1 rb. 20 kop.

— W Królestwie Polskiem jest czynnych 1,319 kas oszczędnościowo-pożyczkowych gminnych, w 1,281 gminach, z ogólnej liczby 1,285. Obroty wynoszą 23,000,000 rubli, z tej zaś sumy 15,000,000 rb. stanowią składki oszczędnościowe, a 8,000,000 rb. kapitały własne.

— W Królestwie Polskiem odbędą się w roku bież. wystawy koni w następujących miejscowościach: w Jędrzejowie, gub. Kieleckiej, d. 6 września, w Radomiu — d. 9 września, w Piotrkowie — 14 września, w Łowiczu — d. 16 września, w Kole — d. 18 września, w Ciechanowie — d. 23 września, w Łomży — d. 27 września i w Płocku 5 października; zamiast wystawy koni włościańskich w Siedlcach — w Białej dn. 2 września.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyj postanowiło wprowadzić bilety wejścia na perony dworców kolejowych.

— Główny zarząd kolejowy zawiadomił, że wysyłanie ładunków pospiesznych i bagażowych (z wyjątkiem pasażerskich) do stacyi Bajkał zostało zawieszone.

Katastrofy. Podczas gaszenia pożaru fabryki wyrobów stolarskich O. Gehliga w Łodzi zawaliła się ściana, pod którą znalazło śmierć 12 uczestników straży ochotniczej, kilkunastu pokaleczonych.

— Na placu wystawowym w St. Louis cyklon zburzył kilka gmachów — trzy osoby zginęły, sześćdziesiąt zostało ranionych.

Pożary. W ostatnich czasach spaliło się w Wolbromiu, pow. Olkuskim, 100 posiadłości gospodarskich wraz z inwentarzem i zbiorami tegorocznymi; we wsi Uchańsku, pow. Hrubieszowskim — 13 domów wraz z zabudowania gospodarskiemi, we wsi Koniuchy, tymże powiecie — 20 domów i inne zabudowania; we wsi Garbów, pow Sandomierskim — kilka domów i stodół; w Błaszkach pod Kaliszem — powtórnie 20 domów; we wsi Dębów, pow. Bialskim — 211 budynków mieszkalnych i gospodarskich z całym dobytkiem; we wsi Sułkowice, pow. Łęczyckim — 41 zabudowań.

Zmarli. Bazyli Bilbasow, historyk i publicysta rosyjski, b. profesor uniwersytetu petersburskiego i współredaktor *Golosu*, w Pawłowsku.

— Dr. Fryderyk Ratzel, geograf, profesor uniwersytetu lipskiego, autor licznych dzieł specyalnych; w Ammerlandzie, nad jeziorem Starnberskiem.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stałemu czytelnikowi A. Z. Gospodarstwo całego kraju opiera się na tych samych zasadach co gospodarstwo jednostek; z tej strony rzecz rozważywszy, nietrudno rozwiązać zagadnienie.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 13 Августа 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.